C. BOGUCKA. C. NIEWIADOMSKA

WYPISY POLSKIE

NA KLASĘ II

KIJÓW.
W trzecim roku wojny, pierwszym wyzwolenia.
1917.

Nakładem Rady Okręgowej Kijowskiej.
Skład Główny w Kijowie, Prorezna 17, I piętro.

DRUKARNIA - POLSKA w KIJOWIE

1. Boże coś Polskę.

Boże! coś Polskę przez tak liczne wieki,
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją otaczał tarczą Swej opieki
Od nieszczęść, które przygnębić ją miały;
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!

Ty, któryś potem tknięty jej upadkiem,
Walczących wspierał za najświętszą sprawę;
A chcąc świat cały mieć jej męstwa świadkiem,
Wśród nieszczęść nawet pomnażał jej sławę;
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!

Wróć biednej Polsce świetność starożytną!
Użyźniaj pola, spustoszone łany;
Niech szczęście, pokój na nowo zakwitną!
Przestań nas karać, Boże zagniewany!
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!

Niedawnoś wolność zabrał z Polskiej ziemi,
A już krwi naszej popłynęły rzeki —
O, jakże musi być okropnie z temi,
Którym Ojczyznę odbierasz na wieki!
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie

Jedno Twe słowo, wielki niebios Panie,
Z prochów nas podnieść znowu będzie zdolne,
A gdy zasłużym na Twe ukaranie,
Obróć nas w prochy, ale w prochy wolne!
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie.
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!

Alojzy Feliński.

Czy znałeś tę modlitwę? W długich latach niewoli śpiewali ją zawsze Polacy, a gdy staną się wolni, pamiętać ją będą jak święte wspomnienie. Więc Polak każdy znać i umieć ją powinien. Wytłumacz każdą strofkę.

2. Szkoła.

(Notatka ojca w kajecie syna).

„Tak, drogi Henryku. Nauka ci jest ciężką, jak powiedziała twoja matka, jeszczem cię nie widział idącego do szkoły z wesołą twarzą i duchem ochotnym, jakiebym chciał widzieć u ciebie. Ale pomyśl tylko, jak marne, jak nic nie warte byłyby dni twoje, gdybyś nie chodził do szkoły. Jeszczeby tydzień nie minął, a jużbyś prosił ze złożonemi rękoma, żeby cię znów posłać do niej, przejęty nudą i wstydem, zmęczony rozrywkami i sam sobą.

Wszyscy, wszyscy uczę się teraz, mój drogi Henryku. Pomyśl no o tych robotnikach, którzy idą do szkoły wieczornej po całym dniu krwawej pracy; o tych kobietach, o tych dzieciach, chodzących do szkoły niedzielnej po tygodniu ciężkich, często ponad siły trudów; o tych żołnierzach, którzy chwytają za książki, za kajety, ledwo wróciwszy z mozolnych ćwiczeń; pomyśl o dzieciach niewidomych, niemych, które mimo kalectwa, do nauki się garną, pomyśl wreszcie o więźniach, bo i ci nawet uczą się czytać i pisać.

Kiedy wychodzisz rankiem z domu, wspomnij, że w tej samej chwili i w tym samym mieście więcej niż

trzydzieści tysięcy chłopców, tak samo jak ty, idzie się zamknąć na trzy godziny. Ale co!... wspomnij raczej o tych miljonach dzieci, dążących w tym samym czasie, co i ty, do szkoły po wszystkich krajach świata.

Uprzytomnij sobie, jak cała ta wielka armja przyszłości idzie przez ciche wioski, przez gwarne miasta, po brzegach mórz i jezior, pod upalnym słońcem, to pod chmurnym niebem, łodziami, gdzie braknie lądu, — końmi, gdzie nogi ustają, saniami po śniegach i lodach, przez doliny, — przez wzgórza, skroś lasów i potoków, po górskich kamienistych ścieżynach, to pojedynkiem, to gromadą, to znów długim rzędem, wszyscy z książkami pod pachą, odziani w tysiąc odmian i sposobów, mówiący tysiącem języków i narzeczy, od szkół kresowych północy, w lodach gdzieś zgubionych, do szkół Arabji, ocienionych palmą, miljony idą, miljony, uczyć się tych samych rzeczy tysiącem różnych sposobów! Wyobraź sobie, drogie dziecko, to olbrzymie mrowisko chłopców stu szczepów, stu ludów, stu krain; ten ruch niezmierny, którego i ty jesteś cząstką, i pomyśl: gdyby ten ruch ustał, ludzkość popadłaby w dawne barbarzyństwo. Bo on właśnie jest postępem, on jest nadzieją, on jest chwałą świata.

Odwagi zatem, mały żołnierzu miljonowej armji! Książki twoje są twoją bronią, twoja klasa jest twoim regimentem, polem bitwy jest ziemia cała, a zwycięstwem jest cywilizacja ludzkości.

Nie bądźże tchórzem w tym boju, mój Henryku drogi.

Twój ojciec".

Edmund Amicis (Serce).

współczesny pisarz włoski,

Kiedy wchodzisz do szkoły, świat twój się rozszerza,—dotąd żyłeś w rodzinie, teraz jesteś już cząstką społeczeństwa bezpośrednio. — Zastanów się nad tą różnicą. W rodzinie cię kochano i nieraz ustępowano przez miłość, — tu mogą cię także kochać, ale wszyscy mają równe prawa, i musisz ograniczyć swoją wolę i zachcianki obowiązkiem względem kolegów. — Co to znaczy koleżeństwo? Kto jest dobrym kolegą? Kto jest złym kolegą?

3. Praca.

Jest pewna siła, o dziecię-moje,
Co ducha krzepi i nudy skraca,
Co skroń ozdabia w szlachetne znoje:
Wiesz, jak jej miano? Zowie się praca.
Widzisz ten kościół z krzyżem u szczytu,
Co Bogu serca zbłąkane zwraca?
Któż wieże jego wzniósł do błękitu,
Jeśli nie długa mozolna praca?
Albo bielone ściany tej szkółki,
Gdzie dzieci marnie chwilek nie tracą,
Lecz nektar nauk sączą, jak pszczółki —
Czyż nie stawiane trudem i pracą?
Patrz na tych ludzi, którzy wieczorem
Wracają czarni, strudzeni tacy,
I wyszarzanym świecą ubiorem,
Co im wśród krwawej wytarł się pracy...
Ale się nie śmiej z podartej szaty,
Którą się szczycą owi biedacy!
Kiedyś, o dziecię, dowiesz się z laty,
Jaka jest wartość sukni—a pracy.
Lecz dłoń ich ujmij w swe rączki małe,
Niech twe uściski trud im odpłacą
I cześć miej dla tych, co życie całe
Walczą wytrwałą, usilną pracą.
Bo nie złocone pałaców progi
W oczach ogółu ludzi bogacą —
I droższy nieraz domek ubogi.
Gdy okupiony mozolną pracą!

Wł. Bełza,
poeta polski z drugiej połowy XIX w.

Kto wart więcej: człowiek ubogi, który ciężko pracuje, czy bogaty próżniak?

Objaśnij znaczenie wyrazów: krzepi, znój, szczyt, mozolny, nektar.

4. Józio.

I.

Między kilkudziesięciu pierwszoklasistami, z których jeden golił już wąsy prawdziwą brzytwą, a inni byli zdrowi jak młode źrebaki, znajdował się kaleka — Józio. Był to chłopczyk garbaty, karzeł na swój wiek, mizerny, z małym noskiem sinym, blademi oczyma i gładkiemi włosami. Był tak wątły, że musiał odpoczywać, idąc z domu do szkoły. a tak bojaźliwy, że gdy go wezwano do lekcji, tracił mowę ze strachu. Nigdy nie bił się z nikim, tylko prosił innych, żeby jego nie bili. Gdy mu raz „dano szczupaka" po suchej jak patyk rączynie—zemdlał, ale otrzeźwiony—nie poskarżył się.

Miał tylko ojca, który pragnął sam kierować jego edukacją. Sam chciał odprowadzać syna do szkoły, chodzić z nim na spacer, dawać mu korepetycję, ale nie robił tego z powodu braku czasu, który mu dziwnie prędko ginął w handlu trunków i owsianego piwa.

Tym sposobem Józio nie miał żadnej opieki. Swoją drogą miewał pieniądze, po 6 i po 10 groszy na dzień. Za to miał sobie kupować w czasie pauzy po 2 bułki i po serdelku. Ale że go wszyscy prześladowali, więc chcąc się jako tako zabezpieczyć, kupował po 5 bułek i rozdawał je najsilniejszym kolegom, ażeby mieli dla niego łaskawe serca.

Podatek ten nie na wiele mu się przydał, bo poza pięciu zjednanemi stało trzy razy tyle nieprzejednanych. Dokuczali mu bezustanku. Ten go uszczypał, tamten pociągnął za włosy, inny ukłuł, czwarty dał byka w ucho, a najmniej odważny nazywał go przynajmniej garbusem.

Józio tylko uśmiechał się na te koleżeńskie żarty; czasami prosił:—Dajcie już pokój! — a czasami i nic nie mówił, tylko opierał się na suchych rękach i szlochał.

Koledzy dokuczali mu wtedy jeszcze zawzięciej.

Ja z początku mało zwracałem uwagi na garbuska, który wydawał mi się niemrawym. Ale raz ten duży

kolegą, który golił wąsy brzytwą, usiadł za Józiem i zaczął mu palić byki w oba uszy. Garbus zanosił się od płaczu, a klasa trzęsła się ód śmiechu. Wtedy coś mnie ukłuło w serce. Schwyciłem drągala, który dawał garbusowi byki, pchnąłem go tak silnie, że runął jak długi, i zawołałem, że tak zrobię każdemu, kto Józia dotknie palcem.

Drągal zbladł jak ściana, i zdawało się, że zemdleje. Cała klasa przestała się śmiać, a potem zaczęła krzyczeć: — Dobrze mu tak! niech nie dokucza kalece! — W tej chwili wszedł profesor.

II.

Uważałem, że przez całą lekcję garbusek odwracał głowę w moją stronę i uśmiechał się, zapewne dlatego, że przez ten czas nie dostał ani jednego byka. Na pauzie także mu nikt nie dokuczał, a kilku oświadczyło, że będą go bronili. On dziękował im, ale przybiegł do mnie i chciał mi dać bułkę z masłem.

Nie wziąłem, więc trochę zawstydził się, a potem rzekł cicho:

— Wiesz co, Leśniewski, powiem ci sekret.

— Gadaj—odparłem—ale prędko.

Garbusek stropił się, a potem zapytał:

— Czy ty już masz przyjaciela?

— A mnie co potem?

— Bo widzisz, gdybyś chciał, to ja mógłbym być twoim przyjacielem.

Spojrzałem na niego z góry. On zmieszał się jeszcze bardziej i znowu zapytał cienkim i stłumionym głosikiem.

— Dlaczego ty nie chcesz, abym był twoim przyjacielem?

— Bo ja nie wdaję się z takiemi trutniami, ja ty!— odpowiedziałem.

Garbuskowi bardziej niż zwykle posiniał nosek. Już chciał odejść; ale zwrócił się raz jeszcze do mnie, mówiąc:

— To może chcesz, żebym przy tobie siedział?

Widzisz, ja uważam, robiłbym za ciebie przykłady... Umiem dobrze podpowiadać...

Ta argumentacja wydała mi się poważną. Po namyśle przyjąłem garbuska do ławki, a mój sąsiad zgodził się za 5 bułek odstąpić mu swego miejsca.

Już po południu Józio przeniósł się do mnie. Był to mój najszczerszy pomocnik, powiernik i chwalca. On wybierał słówka i robił wszelkie tłumaczenia, on notował zadawane przykłady, nosił kałamarz, pióra i ołówki dla nas obu. A jak podpowiadał! Przez czas pobytu w szkołach wielu mi podpowiadało, niektórzy nawet klęczeli za to, ale żaden w tej sztuce nie umywał się do Józia. W podpowiadaniu garbusek był mistrzem, bo umiał mówić z zaciśniętemi zębami i robił przytem tak niewinną minę, iż żaden z profesorów nawet go nie podejrzewał.

Ile razy osadzono mię w kozie, garbusek przynosił ukradkiem chleb i mięso ze swego obiadu.

Jeżeli nie potrzebował na jakiej lekcji uważać, wówczas prawił mi komplimenty.

— Mój Boże, żebym ja był taki, jak ty, mocny! Mój Boże! żebym ja był taki zdolny! — Wiesz, że gdybyś chciał, to za miesiąc byłbyś prymusem,

Pewnego dnia całkiem niespodzianie nauczyciel języka niemieckiego wyrwał mię na środek. Przerażony Józio ledwie miał czas podpowiedzieć mi, że do czwartej deklinacji należą wszystkie rzeczowniki rodzaju żeńskiego, np. die Frau — pani.

Ostro wyszedłem i z wielką pewnością zawiadomiłem nauczyciela, że do czwartej deklinacji należą wszystkie rzeczowniki rodzaju żeńskiego, np. die Frau —pani. Ale na tem skończyła się moja wiedza.

Profesor spojrzał mi w oczy, pokiwał głową i kazał tłumaczyć. Przeczytałem po niemiecku głośno i płynnie raz, potem jeszcze płynniej drugi raz, ale gdy zacząłem czytać trzeci raz ten sam ustęp, nauczyciel kazał mi pójść na miejsce.

Wracając do ławki, spostrzegłem, że Józio bardzo

pilnie przypatruje się ołówkowi profosora i że ma bardzo zafrasowaną minę. Machinalnie zapytałem garbuska:

— Nie wiesz, jaki mi dał stopień?

— Czy ja wiem? — westchnął Jozio.

— Ale jak ci się zdaje?

— Ja — rzekł garbusek — dałbym ci piątkę... no, zresztą czwórkę, ale on...

— A on ile mi dał?—spytałem.

— Zdaje mi się, że — pałkę. Ale to osieł, co on tam wie — odpowiedział Józio tonem głębokiego przekonania.

Pomimo wątłości chłopczyna ten był pracowity i bystry. Ja zwykle czytałem w klasie rozmaite książki, a on słuchał wykładu i później mi go powtarzał. Dzięki tym korepetycjom zacząłem wkrótce miewać nawet piątki.

III.

Pewnego dnia Józio nie przyszedł do szkoły, a nazajutrz przed południem powiedziano, że ktoś mnie „wypukuje". Wybiegłem na korytarz, trochę zaniepokojony, lecz zamiast inspektora zobaczyłem tęgiego mężczyznę z ponsową twarzą, fjoletowym nosem i czerwonemi oczyma.

Nieznajomy odzwał się głosem nieco chrapliwym:

— To ty, chłopcze, jesteś Leśniewski?

— Ja.

— Zajdź tam do mego syna Józia, do tego garbatego wiesz? On jest chory, bo onegdaj trochę go przejechali.

Przestąpił z nogi na nogę, spojrzał na mnie błędnym wzrokiem i odszedł, tupiąc głośno o podłogę. Mnie jakby kto oblał gorącą wodą. Zdawało mi się, że to ja raczej powinienem być przejechany, nie zaś biedny garbusek, on—taki dobry i wątły.

Po południu wypadła rekolekcja. Nie poszedłem już do domu na obiad, tylko pobiegłem do Józia.

Obaj z ojcem mieszkali na końcu miasta, w dwóch pokoikach parterowego domku. Gdym wszedł, zastałem garbuska, leżącego w krótkim łóżeczku. Był zupełnie

sam, sam jeden. Ciężko oddychał i drżał z zimna, bo w piecu nie napalono. Źrenice jego rozszerzyły się tak, że miał prawie czarne oczy. W izdebce czuć było wilgoć, a z dachu padały krople topniejącego śniegu.

Pochyliłem się nad łóżkiem i spytałem.

— Co tobie, Józiu?

On ożywił się, otworzył usta jakby do uśmiechu, ale tylko jęknął. Wziął mię za rękę wyschłemi rączętami i zaczął mówić:

— Ja pewnie umrę... Ale boję się tak... sam... więc prosiłem, żebyś przyszedł... To... widzisz... niezadługo, a mnie będzie trochę weselej...

Jeszcze nigdy Józio nie wydał mi się takim, jak dziś. Zdawało mi się, że z kaleki wyrasta olbrzym.

Zaczął głucho jęczeć i kaszlać, aż na usta wystąpiła mu różowa piana. Potem zamknął oczy i ciężko oddychał, a czasami wcale nie oddychał. Gdybym nie czuł uścisku jego rozpalonych rączek, myślałbym, że umarł.

Tak siedzieliśmy godzinę—dwie—trzy, milcząc. Ja prawie straciłem władzę myślenia. Józio odzywał się rzadko i z wielkim wysiłkiem. Powiedział mi, że go z tyłu najechał jakiś wóz, że ojciec poszedł szukać nowej służącej ..

Potem nie uwalniając mi ręki, prosił, żebym mówił cały pacierz. Zmówiłem, a gdym zaczął: „Kiedy ranne wstają zorze“—powiedział mi:

— Mów jeszcze „Wszystkie nasze dzienne sprawy“.—Ja się już pewno jutro nie obudzę.

IV.

Słońce zaszło, nadciągnęła jakaś szara noc, bo poza chmurami świecił księżyć. W domu nie było świecy, zresztą nie myślałem jej nawet zapalać. Józio był coraz niespokojniejszy, bredził i tylko chwilami odzyskiwał przytomność.

Już było późno, gdy od ulicy kołatnęła furtka z wielkim hałasem. Przez podwórze przeszedł ktoś i gwiżdżąc, otworzył drzwi naszej izby.

— To tatko?—jęknął garbusek.

— Ja mój synu! — odparł przybysz ochrypłym głosem.—Jakże ci tam? Pewnie lepiej?—Tak być powinno! Zawsze uszy do góry, mój synu!..

— Tatku, niema światła—mówił Józio.

— Głupstwo światło! — A to kto? — zawołał, dotytykając się o mnie.

— To ja—odparłem.

— Aha, Łukaszowa? Dobrze. — Prześpij się dziś, a jutro sprawię ci wnyki...

— Dobranoc, tatku, dobranoc...—szeptał Józio.

— Dobranoc, moje dziecko—odparł przybysz i nachyliwszy się nad łóżkiem, mnie pocałował w głowę.

Józio począł się trząść i mówić coraz niewyraźniej.

— Tak mnie łamie!... Czyś ty na mnie usiadł, Kaziu? Kaziu! O nie, bijcie mnie już!...

Nagle przyciągnął moją rękę do ust, schwycił zębami za palce i—puścił. Już nie oddychał.

— Panie!—zawołałem.—Panie! Józio umarł.

— Co tam pleciesz? — mruknął głos z drugiego pokoju.

— Józio umarł—powtórzyłem cały drżący.

Człowiek rzucił się na kufrze i wykrzyknął:

— Wynoś mi się stąd błaźnie... Ja jego ojciec, lepiej wiem, czy on umarł!

Uczułem trwogę i uciekłem.

Przez całą noc nie mogłem spać, miałem dreszcze, męczyły mnie jakieś straszne marzenia. Zrana obejrzał mię gospodarz naszej stancji, powiedział, że mam gorączkę, że pewnie się zaraziłem od przejechanego Józia, kazał mi postawić na krzyżu 12 baniek ciętyh. Po tem lekarstwie nastąpiło — jak mówił gospodarz — takie przesilenie, żem tydzień leżał w łóżku.

Nie byłem na pogrzebie Józia, którego odprowadziła cała nasza klasa z nauczycielem i księdzem prefektem. Mówiono mi, że miał czarną trumnę aksamitną, tak małą jak pudełko od skrzypiec.

Ojciec jego strasznie płakał, a na cmentarzu złapał

trumnę i chciał z nią uciekać. Ale pomimo to Józia pochowali, a jego ojca komisarz z policjantem wyprowadzili z cmentarza.

B. Prus.

(Aleksander Głowacki, współczesny powieściopisarz polski).

Jaki był Józio, a jaki jego kolega? Czy koledzy szlachetnie postępowali z Józiem? Jaki wpływ wywierał Józio na Leśniewskiego? Jakie uczucia i postanowienia może w nas wzbudzić historja Józia? Czy widzisz jakie różnice pomiędzy tą szkołą, a twoją? Jakie? Czy to jest opis, czy opowiadânie.

5. Duch sieroty.

Przez zagony, przez pole idzie sobie pacholę,
Wielki wicher, ulewa, a to idzie i śpiewa.

Wyszedł z gaju gajowy i ozwie się w te słowy:
— Taka bieda na dworze, a ty śpiewasz, niebożę?

— Oj, długom ja płakała, gdy mnie nędza wygnała,
Kiedym biedna sierota, drżąca stała u płota.
Aż raz nocy niedzielnej przy dzwonnicy kościelnej
Mróz wszelakie czucie ściął i Pan Jezus duszę wziął.
Jedna zimna mogiła moją biedę skończyła.
Siwy dziad mnie pochował. On mnie płakał, żałował,
On mnie ubrał w sukienki do tej zimnej trumienki.
Teraz nic mi nie trzeba, idę sobie do nieba.

— Oj, sieroto, oj, dziecię, nic ci nie żal na świecie?
— Żal mi jeno tej łąki, gdzie fijołki i dzwonki;
Żal mi słońca w zachodzie, kiedy świeci po wodzie,
I fujarki wierzbowej z nad zielonej dąbrowy.

T. Lenartowicz,
poeta polski XIX wieku.

Dlaczego to sierota się cieszy, że opuściła świat? Czy jej dobrze było na ziemi? Dlaczego źle? Czy niczego już nie żałuje? Dlaczego żałuje łąki, słońca i fujarki? Czy nic na świecie nie kochała? Ludzie nie byli dla niej dobrzy, nie mogła się do nich przywiązać, tylko dziada litościwego z wdzięcznością wspomina, lecz choć do nieba idzie, żal jej rodzonej ziemi, pięknej ziemi, swojej, kochanej.

6. Z życia młodej Polki [1]).

W połowie XVIII wieku.

Porządek naszego życia jest zwykle taki: wstajemy letnią porą o szóstej, zimową o siódmej godzinie: wszystkie cztery sypiamy razem w jednym pokoju na trzeciem piętrze, wraz z Madame; każda z nas ma łóżko żelazne z firankami; Basia, jako najstarsza, ma dwie poduszki i becik matynowy—my po jednej i kołdrę flanelową. Wstawszy i ubrawszy się na prędce, mówimy z Madame pacierz francuski, poczem zaraz do nauki.

Dawniej dyrektor uczył nas wszystkie po polsku czytać, pisać i rachować, a ksiądz kapelan katechizmu; ale teraz tylko Kasię i Marysię uczy, a Basię i mnie sama Madame (nauczycielka Francuzka). Uczymy się na pamięć rozmów i wokabuł [2]) z gramatyki, słów i anegdot z nomenklatora [3]). O ósmej godzinie schodzimy na dół, do państwa, na dobry dzień i na śniadanie. Polewkę piwną w zimie, mleko w lecie prawie codzień jadamy, w dnie postne żurek bardzo wyśmienity.

Po śniadaniu idziemy wszyscy na mszę do kaplicy zamkowej, która jest bardzo piękna i z chórem; tam po mszy kapelan czyta modlitwy po łacinie, cały dwór i my mówimy je głośno za nim: muszę się też kiedy spytać, co one znaczą? Po tym nabożeństwie wracamy na górę uczyć się wokabuł i słów niemieckich: piszemy listy na zadania; Madame nam wiersze poety francuskiego Malherba dyktuje. Mamy też klawicymbał i metra do niego, Niemca, który oraz kapeli nadwornej przewodzi i trzysta złotych na rok bierze. Wszystkie się uczymy grać, Basia wcale niczego brzdąka.

Potem kładziemy podwłośniki, i fryzjer nadworny po starszemu nas fryzuje; często ból srogi ponieść wy-

---

[1]) Franciszki Krasińskiej, później żony królewicza polskiego, Karola, syna Augusta III. [2]) Wokabuły—słówka. [3]) Nomenklator—książka, zawierająca zbiór nazw technicznych i trudnych wyrazów.

padnie, osobliwie kiedy nową jaką tworzy fryzurę. Ja mam najdłuższe i najgęstsze włosy: po ziemi się włóczą, gdy na taborecie przed gotowalnią siedzę, na mojej głowie zwyczajnie swoje próby robi: ale prawda, że dziwnie piękne i sztuczne układa fryzury, dzisiejsza naprzykład w moim guście najpiękniejsza, bo jakaś jakby z niechcenia: włosy wszystkie sczesane do góry, część ułożona w pukle na wierzchu głowy, część zawinięta spada kręcąc się, na kark i na ramiona; pudru w nich z pół funta.

Ubiór nasz trwa parę godzin; przez ten czas uczymy się na pamięć różnych przysłów francuskich, a bez pamięci—cierpliwości. Jak teraz to czas gotowalni krótszy mi się wydaje, bo nam Madame czyta głośno dzieło najnowsze, dziwnie zabawne i arcy-moralne: Magasin des Enfants, przez panią de Beaumont napisane. Są to rozmowy guwernantki z uczenicami; wyborne rozpowiada im bajki.

O dwunastej skoro na Anioł Pański zadzwonią, odmówiwszy go, schodzimy na dół na obiad, i już do końca dnia państwo u siebie bawić nam pozwalają. Dwie godziny siedzi się zwykle u stołu, potem przechadzka jeśli pora sprzyja. Mamy też raz na raz pilną robotę do naszego kościoła do Piotrkowic: haftujemy w krosnach, póki tylko widno, a przy świecy robimy siatki na wyścigi; świec pali się kilkanaście w srebrnych pająkach; chociaż żółte, bo z naszego wosku i domowej roboty, przecież bardzo widne; ja tej zimy wieczorami do całej komeżki zrobiłam siatkę z pokrzywki i poszyłam ją w drobne muszki.

Wieczerza o siódmej i zimą i latem; po wieczerzy już niema roboty, tylko zabawa; gramy w karty w marjasza albo w drużbarta; warto widzenia jakie miny wyrabia Macieńko (trefniś), kiedy ma siódemki; ja pękam od śmiechu. Kiedy nadejdzie dzień, w którym pokojowiec, wysyłany co tydzień do Warszawy, powraca, kapelan czyta gazety, kurjera, listy; niektórym wiadomościom bardzo chętnie się przysłuchuję. Często także czyta nam

Imć dobrodziej [1]) stare kroniki czasem nudne, ale czasem wielce zabawne; wyznam jednak, że mnie francuskie daleko więcej od polskich zajmują; i nierównie więcej ich czytam; nasza Madame ani słowa po polsku nie umie, z państwem raz na tydzień, a z nią codziennie czytujemy. Jak w zapusty to jeszcze rzadsze czytanie: gości pełno, a wtenczas gry, muzyka, taniec. Ale co słyszę? już na dwunastą dzwonią; trzeba pióro rzucić, Pozdrowienie Anielskie co tchu odmówić, fryzury poprawić, biedz na dół i zostawić na jutro, com dziś jeszcze w tym dzienniku napisać zamierzała.

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa,
Autorka polska z pierwszej połowy XIX w.
(Dziennik Franciszki Krasińskiej).

Czy możemy się dziwić, że w różnych czasach i w różnych krajach rozmaicie wychowują młodzież? Wskaż, czem się różni wychowanie dziewcząt w owych czasach od dzisiejszego?

7. Dziewczyna.

Oj, wesołaż ja dziewczyna!
Wszystko mi się śmieje,
Dla mnie kwieci się dolina,
Dla mnie wietrzyk wieje.
Dla mnie wschodzą ranne zorze
I wieczorne gwiazdki.
Dla mnie dałeś wszystko, Boże,
Na piosnki, powiastki.

Bo i któżby myślał w świecie
Przy tym niepokoju,
O powoju co się plecie
Przy krzakach przy zdroju,
I o lichej tej ptaszynie,
Co w wieczornym chłodzie
Śpiewa sobie na kalinie
W matuli ogrodzie?

---

1) Jegomość dobrodziej—mowa tu o ojcu.

Już ja o tem myśleć muszę,
To mój kłopot cały,
Żeby w letnią, skwarną suszę
Kwiatki nie zwiędniały,
Żeby chłopcy nie wybrali
Małych ptasząt z gniazdka:
Zdrój oczyszczam, żeby w fali
Przejrzała się gwiazdka.

Za to od lilji, ruty
Kwiatki mam dla siebie,
A ptaszek mnie uczy nuty
Do pieśni o niebie.
Od zdroju mam orzeźwienie,
Tę świeżość poranka,
A z gwiazd lecą mi promienie,
Jakby srebrna tkanka.

I tak dobrze, tak mi lekko
U matki jedynej,
Że i nie wiem jak tam cieką
Lata, dnie, godziny.
Czasem tylko, gdy do chatki
Zła wieść zakołacze,
To na łonie miłej matki
Żal nad ludźmi spłaczę.

Bo chociaż ja tak wesoła,
Taka śmieszka psotna,
Lecz i najsmutniejsza z sioła
I często samotna.
Lada co to mnie ucieszy,
Lada co zasmuci,
Czasem mała rzecz rozśmieszy,
Mała rzecz zakłóci.

Teraz to mniej śpiewam sobie,
Mniej skaczę jak dziecię,
Od czasu, jak brat mój w grobie,
Smutniej mi na świecie.

T. Lenartowicz.

Co cię najwięcej w życiu cieszy i co smuci? Czy w tym wierszu mamy opowiadanie, czy opis, czy też wyrażenie uczuć?

8. Nauka małego Chińczyka.

Gdy miałem lat 8, ojciec przyjął do mnie nauczyciela, starego uczonego, nazwiskiem Tsin. Obowiązkiem jego było uczyć mnie początków arytmetyki i gieografji, oraz pisania, a raczej malowania, gdyż jak wiadomo, my, Chińczycy, piszemy pendzlem.

Uczeni, przyjmujący obowiązki nauczycieli w znaczniejszych domach, lub utrzymujący szkoły początkowe, nie zdawszy egzaminu wyższego, tracą prawo ubiegania się o urzędy publiczne. Surowi dla swych uczniów, biją ich za najmniejsze wykroczenie.

Tsin był jeszcze gorszy od innych, surowość jego przechodziła wszelkie granice; to też dziś jeszcze, gdy myślę o tym jako mężczyzna dorosły, uważam go za tyrana.

Twarz miał żółtą, pomarszczoną, z obwisłemi policzkami, wąsy długie, spuściste; nosił wełnianą bluzę i takież spodnie, a na nosie miał okulary, zasłaniające mu pół twarzy; z wierzchołka głowy spływał mu długi warkocz szpakowatych włosów.

Zdaleka już czuć było od niego opium [1]), nałogowo bowiem używał tego zabójczego przysmaku, chociaż stanowczo temu zaprzeczał; dla zachowania pozorów nosił nawet przy sobie zwykłą fajkę i worek z tytuniem, zatknięte za pasem, wraz z patyczkami do jedzenia ryżu, wachlarzem, woreczkiem do pieniędzy, zazwyczaj pustym, krzesiwkiem i flaszką z tabaką. Słowem, miał za pasem całe gospodarstwo. To wszystko za każdem poruszeniem wydawało szmer, zdradzający jego obecność. Zwykle też nosił w ręku dyscyplinę o grubych rzemieniach, którą częściej machał podczas lekcji niż wachlarzem.

Nietyle jednak bałem się dyscypliny, ile jego warkocza. Rozgniewany, chwytał to straszne narzędzie, su-

---

[1]) Opium—sok z niedojrzałych główek pewnego gatunku maku, odurza i sen sprowadza.

che, twarde, jakby z końskiego włosia uplecione, i tak mnie ćwiczył, że sine pręgi długo miałem na ciele.

Nie skarżyłem się jednak na to tyrańskie obchodzenie się: znosiłem je ze stoickim [1]) spokojem, gdyż wiedziałem, że od niepamiętnych czasów nauczyciele tak postępują z uczniami. Zresztą wszyscy Chińczycy, bez różnicy wieku i stanu, podlegają chłoście. Zwierzchnik może kazać wyliczyć bambusy swemu podwładnemu. Nawet książęta domu panującego nie są wolni od tego rodzaju kary, a cesarz, gdy jest niezadowolony z rzadów swych ministrów, każe ich bez ceremonji okładać bambusami.

Tak upłynęło kilka lat, wyrosłem na chłopca i zdaje się, że nauka Tsina nie była najgorsza, skoro uczyniłem znaczne postępy. Matka i siostra okazywały mi widoczny szacunek, a ojciec, jakkolwiek tail się z tem, cieszył się bardzo moją pilnością i jak najlepiej wróżył o przyszłości. Często zachodził do mego mieszkania i oglądał przepisane przezemnie wyjątki z dzieł Konfucjusza [2]). Nie pochwalił jednak nigdy mojej pracy i tylko z niektórych ruchów jego domyślałem się, że jest zadowolony.

Ojciec nie zdradzał też swego zadowolenia przed znajomemi i przyjaciółmi. Prawa gościnności wymagają u nas, aby poniżać—o ile można—to, co posiadamy, a osoba, z którą rozmawiamy, powinna przeciwnie, przesadzać w pochwałach dla nas. Tak np. gdy wychwalamy starożytne nazwisko znakomitego mandaryna [3]) lub jego wspaniały pałac, zwyczaj wymaga, aby tenże odpowiadał skromnie, że nosi nieznane nazwisko i ma

---

[1]) Stoik—człowiek cierpliwie i z powagą znoszący nieszczęścia.

[2]) Konfucjusz—sławny filozof i uczony chiński.

[3]) Mandaryn—wysoki urzędnik chiński.

nędzną lepiankę. Dlatego skoro ojca mego pytano, czy ma dziedzica imienia—odpowiadał zazwyczaj:

— Mam szczeniaka.

Tym szczeniakiem byłem ją.

Berthet.

(Młodzież w 5-ciu częściach świata)·

Czy wiesz, jakie są przymioty Chińczyków? Gdzie leżą Chiny? Jakie towary stamtąd przywożą? Do jakiej rasy należą Chińczycy? Czy jest to naród cywilizowany? Czy wychowanie dzieci jest takie jak u nas?

9. Wspomnienie.

Pod tym jaworem ogródek,
To mój ulubiony kątek —
Zwę go: „Ustroniem pamiątek“
Ten mój najmilszy ogródek,
Bo w nim tyle niezabudek
Nad wodą i modrych łątek—
Ach, pod jaworem ogródek
To mój ulubiony kątek.

Choć byłam jeszcze maleńka,
Pamiętam jak gdyby wczora:
W cieniu owego jawora,
Gdy byłam jeszcze maleńka,
Siadała ze mną mateńka,
Taka biedna, taka chora!..
Choć byłam jeszcze maleńka,
Pamiętam jak gdyby wczora.

Te uśmiechy, te pieszczoty,
Gdym u kolan jej usiadła!
Czasami przedemną kładła
Wśród uśmiechów i pieszczoty
Swój stary „Ołtarzyk złoty“
I uczyła abecadła...
Te uśmieczy i pieszczoty,
Gdym u kolan jej usiadła!

Wiec bronię cichej ustroni.
Pod jaworem przy studzience...
Wspomnienia moje dziecięce
Wabią mnie do tej ustroni;
Tam w gałęziach słowik dzwoni,
Tam pamiątki lube święcę,
Więc bronię cichej ustroni
Pod jaworem przy studzience...

L. Rydel.

Dlaczego ten kącik miły jest dziewczynce? Kiedy ludzie wspominają dziecięce lata ze wzruszeniem? Czy masz już jakie wspomnienia? Zwróć uwagę, że niektóre wiersze powtarzają się tu w każdej strofce 2—3 razy. Czy ci się to podoba?

10. Młody Amerykanin.

„Siłą woli i odwagą można wszystko pokonać".

I.

Kiedy zaczęły powstawać osady z tamtej strony gór Skalistych, Ryszard Garry zawarł z niemi umowę, że będzie dostarczał do następnego posterunku pocztę raz na miesiąc drogą, idącą koło Źródła Czarownic, przez przełęcz górską, liczącą pięćdziesiąt trzy mile angielskie [1]). Na całej przestrzeni nie było ani jednej ludzkiej osady.

W grudniu 18... roku, gdy przed świętami przywieziono ostatnią pocztę, i trzeba było nieść ją dalej do osadników za górami, Garry czuł się chory i nie mógł sam wyruszyć tak daleko.

— Słuchaj, Ben! — rzekł do swego piętnastoletniego siostrzeńca. — Trzeba odnieść Scottowi pocztę świąteczną,—czekają jej ludziska. Ja iść nie mogę. Ty pójdziesz.

— Dobrze, wuju! — rzekł Ben.

Uradzono wszystko, jak się należy. Ben miał wy-

---

[1]) Mila angielska wynosi przeszło wiorstę.

ruszyć o świcie z wielką pocztową torbą, zapasem żywności, łyżwami, siekierą i futrzanym workiem do spania, złożonemi na saneczkach, a ważącemi razem około stu funtów. Strzelbę miał na plecach, rewolwer za pasem z jednej strony, nóż z drugiej, rzemienne pasy od sanek skrzyżowane na piersiach i psa u nogi.

— Ben! — upominał go stary — bądźże ostrożny, chłopcze, i dostaw wszystko w porę. Możesz przecie dojść tam za cztery dni?

— Niech wuj będzie spokojny, poczta dojdzie na czaś, jeżeli góry się na nas nie zwalą, — prawda, Liściku?

Liścik był to niewielki pies owczarski Ryszarda Garrego. Na zapytanie Bena odpowiedział szczekaniem.

— Bywajcie zdrowi. Śnieg jeszcze niegłęboki. Będziecie mieli dobrą drogę. Szczęśliwej podróży! Bywaj zdrów, Liściku — mówił wuj.

Liścik podbiegł i z wielką powagą podał łapę na pożegnanie, a po dopełnieniu tej ceremonji, poczmistrz patrzał za niemi, dopóki mu nie zniknęli z oczu za wzgórzem.

Nazajutrz Ben doszedł wcześnie przed wieczorem do Źródła Czarownic. Było to miejsce zwykłego odpoczynku. Tuż przy źródle stał szałas z chrustu, a w nim zapas rąbanego drzewa. Pozostawało już tylko czterdzieści trzy mile do przebycia, a czasu na to całe dwa dni. Ben zmęczony rozpalił ogień, zjadł wieczerzę, urządził posłanie i usnął z Liścikiem, leżącym u jego nóg.

W nocy Liścik zaczął wyć i łapami uderzać pana po piersi. Przez cały wieczór dwie pantery odzywały się w pobliżu, ale była to rzecz tak zwykła, że nie zaniepokoiła Bena ani psa.

Zadziwiony, że go pies obudził, Ben wziął strzelbę i wyszedł z szałasu. Ogień prawie wygasły tlił się tuż przy samej ścianie parowu, do którego dochodziło zaledwie słabe światło księżyca. Ben, uszedłszy parę kroków, ujrzał nagle jelenia, który zapewne przyszedł napić się do źródła. Myśliwski duch wnet się w nim odezwał: — Wracając, zabiorę go na święta! — Wycelował

strzelił, lecz mierząc już, zobaczył uszy pantery, sterczące nad brzegiem parowu.

II.

Jeleń ugodzony padł na miejscu, a jednocześnie wielkie cielsko zwierzęcia, podobnego do kota, spadło z góry na Bena, który runął na śnieg, przygnieciony tym ciężarem.

Otrzeźwiawszy spojrzał i zobaczył panterę, z łapą opartą na jego nodze. Zamiast chwycić go za gardło, nawoływała swego towarzysza i śledziła Liścika, który biegał wokoło, szczekając zajadle i grożąc jej napaścią.

Nagle pies skoczył i chwycił panterę za ogon. Pantera, parskając, zwróciła się ku niemu. Ta jedna chwila wystarczyła Benowi. Wyciągnął w mgnieniu oka rewolwer i strzelił jej w łeb. Próbował się podnieść, gdy wtem druga pantera dała susa i rzuciła się na psa, ale padła też ugodzona kulą w serce.

Poruszywszy się, Ben uczuł srogi ból w prawej nodze. Nie mógł się podnieść, tylko przyczołgał się do zabitej pantery i usiadł na jej cielsku, żeby obejrzeć swoje rany. Kość w nodze pomiędzy kostką a kolanem była złamana, ubranie poszarpane, a na lewem ramieniu i ręce były długie głębokie rany. Siedział chwilę rozmyślając:

— Co robić? Przez jakie dwa tygodn.e nie będę w stanie chodzić—może nawet miesiąc, a poczta powinna dojść pojutrze... Najbliższa pomoc o dwa dni drogi. Co robić? Najpierw opatrzyć nogę, potem zabrać jelenia na zapas. Szczęściem jest tyle narąbanego drzewa. Myślę, że trzeba będzie siedzieć tu, dopóki nie wyzdrowieję, jeżeli nie przyślą kogo na zwiady, gdy poczta nie nadejdzie...

Przyczołgał się do zarośli i wyciął sześć mocnych, płaskich kawałków drzewa, któremi obłożył złamaną nogę a wyrównawszy kości obwiązał wszystko chustką. Dopełznąwszy do szałasu, odciął długi kawał sznura u sanek i całą nogę mocno osznurował. Poobmywał rany na ramieniu i posmarował tłuszczem, rozżarzonym nad

ogniem. Toporkiem uciął dwie zakrzywione tyczki, a zawiesiwszy złamaną nogę na sznurze, uczepionym u ramienia, zaczął posuwać się zwolna, oparty na tyczkach jak na kulach.

Dowlókł się w ten sposób do zabitego jelenia, obciągnął go ze skóry, pokrajał i z pomocą Liścika zawlókł do szałasu. Ponieważ robił to wszystko, dopóki złamanie i rany były świeże, cierpiał nierównie mniej, niż gdyby to czynił później.

Na tej robocie zeszła mu cała noc. Rankiem zjadł śniadanie, ale już rany zaczęły się zaogniać, i ból go obezwładnił. Pomimo to, wyczerpany cierpieniem, przespał kilka godzin.

Kiedy się obudził w południe, złamana noga bardzo opuchła i bolała mocno. Rany na ramieniu bolały też i paliły niemiłosiernie.

Cztery dni minęły w ten sposób. Nieustający ból, uczucie opuszczenia i bezsilności, zimno, wilgoć, bezsenność, ciągły niepokój, dręczyły chłopca narówni z troską o niedoręczone listy.

Minęły już dwa dni od chwili, kiedy poczta powinna była nadejść, i Ben zaczął się spodziewać, że osadnicy wyślą kogo na zwiady, zaniepokojeni nieotrzymaniem listów i posyłek na kolędę.

Dotąd pogoda była niezła, a Liścik wesoły; szczątki jelenia i panter składały się na biesiadę, z której korzystali dowoli.

III.

Piątego dnia zaczęła się wielka zawierucha, śnieg padał gęsty, a wicher miotał tumanami o skaliste ściany parowu i zasypywał go śniegowemi wałami.

Na szczęście szałas i źródło były pod ochroną ściany, wzdłuż której szła wąska drożyna.

Śnieżna zawierucha zawiodła nadzieję blizkiej odsieczy. Nikt nie wybrałby się na zwiady podczas takiej niepogody. Po trzech dniach zerwała się burza z deszczem i gradem, poczem wziął mróz, i śnieg pokrył się lodową skorupą.

Gdyby tak posłać wiadomość przez psa? On przecież nieraz chodził z listami — pomyślał nagle Ben.

Rozgrzał w ogniu kolec od klamry i wypalił na kawałku drzewa kilka wyrazów:

„Kolędowe listy przy Źródle Czarownic. Złamana noga. Przyślijcie pomoc.

Garry.

Papier mógł rozmoknąć, a kawałek drzewa pewniejszy. Ben przywiązał go Liścikowi na szyi i zaczął psa uczyć, co ma uczynić.

Nareszcie nad wieczorem zawiązał drewienko w kawałek płótna, włożył w pysk Liścika i powiedział:

— Idź, Liściku! Idź do Scotta! Zanieś do Scotta! do Scotta — sam!

Scott był to pocztmistrz, który miał odebrać posyłkę. Liścik go znał. Zasmucił się bardzo i jakby zamyślił na chwilę, a potem położył paczkę na ziemi i wyciągnął łapę na pożegnanie. Ben uścisnął go za łapę i powtórzył:

— Bywaj zdrów! Idź do Scotta!

Liścik podniósł zawiniątko, zaskowyczał żałośnie i ruszył szparko brzegiem parowu.

Upłynęła godzina—dwie—trzy—pies nie wraca. Ale czy wytrwa całe czterdzieści trzy mile? Czy uniknie niebezpieczeństwa w drodze?

Kiedy minęły dwa dni i dwie noce, a pomoc nie nadchodziła, Ben zaczął się obawiać, że może Liścik zginął, i postanowił wyruszyć sam nazajutrz.

— Kość się już zrosła — pomyślał, opatrzywszy nogę. — Nie mógłbym się na niej oprzeć, ale mogę iść na kulach, na jednej nodze. Będę ciągnął sanki z torbą pocztową, bo listy muszą dojść rąk osadników.

Zrobiwszy to postanowienie, zasnął głęboko. W nocy obudziło go coś, padającego na jego ciało. Zerwał się, chwytając za rewolwer.

— Liścik!

Pies szczekał, skakał, tarzał się po ziemi, stawał na tylnych łapach, podawał przednie łapy do uścisku i objawiał radość na wszelkie psie sposoby. Ale Ben zauwa-

żył, że kuleje. Rozjaśniwszy ogień, spostrzegł, że Liścik jest boleśnie poraniony i mocno zmęczony. Widocznie musiał przed paru dniami stoczyć walkę z jakimś dzikim zwierzęciem. Ale drewienka u szyi nie było: zapewne je Liścik zgubił.

Ben nakarmił psa i położyli się obok siebie. Zaledwie zaczęło świtać, Liścik zerwał się, szczekając, i pobiegł drogą nad strumieniem. Szczekanie jego słychać było w oddali, a potem odezwał się głośno: — Hop! Hop!

Liścik ukazał się po chwili, wiodąc z dumą trzech osadników.

Ben był ocalony...

M. G.

Jakim był ten młody Amerykanin? Pomyśl o jego męstwie, wytrwałości, przytomności umysłu. Postaw się w jego położeniu, czy umiałbyś tak sobie poradzić? Gdzie leżą góry Skaliste?

Takie niewielkie opowiadanie o jakiemś zdarzeniu nazywa się powiastką.

Czy to wszystko jedno: męstwo i odwaga?

11. Chodzi Jezus Malutki.

Noc grudniowa, śnieżyca,
Wiatr z północnej dmie strony,
Tylko światło księżyca
Przez chmur pada opony.

Wyją wilki po lesie,
Drży bór głuchy, sosnowy,
A wichura w dal niesie
Grozę nocy zimowej...

W tę noc ciemną i groźną,
Co kir czarny rozpina,
Drogą śnieżną i mroźną
Idzie mała dziecina.

Dziwny blask u jej czoła
Promieniami się żarzy,
Choć bez skrzydeł anioła,
Wdzięk anielski ma w twarzy.

I podnosi rączęta
Ponad jasne swe czoło,
Błogosławiąc zwierzęta
I twór wszelki wokoło.

I te chaty wieśniacze,
I te sady i drzewa,
I to dziecię, co płacze,
I to dziewczę, co śpiewa.

I ten krzyżyk przy wiosce
Pochylony nad miedzą,
I tych ludzi, co w trosce
Swój powszedni chleb jedzą.

I tak kojąc ich smutki
Z jasną gwiazdą nad głową,
Chodzi Jezus Malutki,
W tę noc śnieżną, grudniową.

W. Bełza.

Co to znaczy? Poeta chce powiedzieć, że Bóg czuwa nad wszystkim na świecie, zarówno nad ludźmi, jak wszelkim stworzeniem: „błogosławi zwierzęta i twór wszelki wokoło“. Czy Bóg sam opiekuje się każdą istotą, czy stworzył prawa, które jej byt osłaniają? Czy ludzie zawsze te prawa Boskie szanują? Czy je zawsze znają i rozumieją?

12. Ptaki i dzieci.

— Posłuchajcie co wam powiem—mówił Kazio, którego oczy błyszczały niezwykle—czytaliśmy dziś u Karola sprawozdanie „Małego Stowarzyszenia Opieki nad ptakami“. Należą do niego prawie same dzieci, a liczy

dzisiaj w Anglji przeszło pół miljona członków! Słyszycie: pół miljona! Z początku obowiązkiem członków było tylko karmić ptactwo w zimie i z gniazd nie wybierać, ale wkrótce dzieciom to nie wystarczało, więc zawiązały „Związek Miłosierdzia“, zobowiązując się słowem uroczystym „być dobremi, sprawiedliwemi i miłosiernemi dla wszystkich żyjących stworzeń, tak ludzi jak i zwierząt“. Okrucieństwo jest przez nie uważane za grzech, godny najwyższej pogardy, i przez to samo stają się coraz lepszemi.

Inna znowu Angielka, lady Paget, założyła w Wiedniu „Stowarzyszenie Opieki dzieci nad zwierzętami“ Podobne stowarzyszenia istnieją także w Niemczech. Wielki poeta szwedzki, Zacharjasz Topelius, założył 1 maja 1890 roku w Helsingforsie podobne Stowarzyszenie Opieki dzieci nad zwierzętami i czyn ten uważa za największą zasługę swego życia. Liczy ono dziś mnóstwo członków, głównie dzieci, a ustawa zaczyna się od słów: Chcemy być dobremi i miłosiernemi. Nie będziemy nigdy się cieszyli z cudzego smutku. Wszystkich będziemy kochali przez Boga, bo wszystko, co stworzonem jest, On stworzył“.

Nie pamiętam zresztą już wszystkich zdań pięknych, ale nic nie zmieniłem. Każdy się podpisuje pod taką ustawą i powinien pamiętać zawsze. do czego się zobowiązał Czyż to nie piękne?

Dzieci słuchały w głębokim milczeniu, tylko blask źrenic świadczył, jak gorąco odczuwały każde słowo.

Zosia przemówiła pierwsza.

— To jest piękne i uczciwe! Kocham tego poetę i te wszystkie dzieci. Chciałabym należeć do nich. Jak dobrze musi być w kraju, gdzie pół miljona dzieci broni od krzywdy zwierzęta i ptaki. O, to nie tak, jak u nas. My też sypiemy okruchy za okno dla głodnych wróbli, ale na tem samem podwórku chłopcy wczoraj zaszczuli kota. Czy w tem niema naszej winy? Czy nie powinniśmy zebrać zaraz te wszystkie dzieci i związać je w Stowarzyszenie Miłosierdzia? To byłaby zasługa. Powinniśmy tak zrobić!

Twarzyczka Zosi płonęła zapałem, z oczu biły promienie ciepła, porywała siłą uczucia i pragnieniem czynu.

— Zosia ma wielką słuszność — odezwała się po chwili Ewcia cichym, trochę nieśmiałym głosem — tylko mnie się zdaje, że—może pierwej jeszcze—nad temi dziećmi trzeba utworzyć opiekę...

Ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk uznania.

— Ach, tak! ach, tak! — koniecznie.

— Trzeba się niemi zająć!

— Uczyć je!

— Nauczyć je miłosierdzia i miłości.

— Skoro poznają dobroć, staną się dobremi.

— Słuchajcie — przerwał Władzio z niezwykłą powagą — proponuję wam rzecz bardzo ważną: łączymy się w „Stowarzyszenie Opieki nad biednemi dziećmi". Mamy obowiązek porozumieć się ze wszystkiemi dziećmi rodziców zamożnych, mieszkających w tym domu, i wspólnemi siłami bierzemy pod opiekę wszystkie dzieci ubogie z tego domu. Jestem pewny, że to wcale nie tak trudno, i że jesteśmy w możności to zrobić. Obowiązki nasze będą następujące:

1. Poznać każde biedne dziecko, jego charakter i potrzeby.

2. Dbać o to, żeby nie cierpiało głodu i miało ciepłą odzież.

3. Zachęcać do czystości.

4. Uczyć lub łożyć na jego naukę.

5. Przynajmniej raz na tydzień spędzić z nim godzinkę czasu na rozmowie, zabawie lub czytaniu.

6. Starać się o dostarczenie mu odpowiednich przyjemności, jak: wycieczki, zwiedzanie i poznawanie tego, co je może rozwijać, ślizgawka, gimnastyka.

7. Wysyłanie dzieci na wieś podczas lata.

— Może któremu z was jeszcze co przychodzi na myśl?

— Tymczasem nie, ale — czy my to potrafimy?

— Jeśli zechcemy szczerze, możemy.

— Ileż ubogich dzieci może być w tym domu?

— Nie więcej jak dziesięcioro, może się i tyle nie zbierze.

— A nas tu jest sześcioro. A przecież znajdzie się więcej. O jednem dziecku każde z nas może pamiętać.

— Powinno—rzekła Zosia z przekonaniem.

— Na koszta sami zdobyć musimy pieniądze. To nasza pierwsza praca dla społeczeństwę. Taka praca nazywa się obywatelska, czyżbyśmy nie byli do niej zdolni?

— Jesteśmy i będziemy! — rozległy się głosy, nie donośne, ale poważne. Zaczynamy od dzisiaj. Obchodzimy wszystkie mieszkania, werbujemy członków. Robimy spis biedaków, i dla bliższego poznania urządzamy dla nich szopkę tej niedzieli.

— Doskonale! — zawołały dzieci ucieszone. — Do roboty!

— Jeszcze jedno — rzekł Kazio — postaramy się przez znajomych i kolegów, aby takich stowarzyszeń powstało jak najwięcej.

— Postaramy się o to—szepnęła z wiarą Zosia.

„W kółku rodzinnym“.

Jaką korzyść przynosi ochrona ptaków: ptakom, dzieciom i krajowi? Łączenie się w stowarzyszenia uczy dzieci zbiorowej pracy, która największe wydaje rezultaty. To początek i szkoła życia społecznego. Czembyśmy byli, gdybyśmy nie żyli w społeczeństwie, ale każdy dla siebie? Opieka nad zwierzętami i współczucie dla nich dowodzi wyższego stopnia uszlachetnienia człowieka.

Czy mamy uznanie dla tych, którzy więcej kochają zwierzęta, niż ludzi? Daj przykład takiego dziwactwa.

13. Nie daj mi, Boże!

Modlę się zawsze w poranku godzinie.
Modlę się zawsze o wieczornej porze:
Pożądać szczęścia dla siebie jedynie
Nie daj mi, Boże!

Dla siebie tylko wonne zbierać kwiaty,
Dla własnych zysków złote zbierać zboże,
Nie wybiedz myślą za progi swej chaty—
Nie daj mi, Boże!

Płaczące dziecko ominąć zdaleka,
Rzucić żebrzącym: „Niech was Bóg wspomoże",
W zwalczonym nędzą nie uznać człowieka—
Nie daj mi, Boże!

I kęsa chleba z głodnym nie podzielić,
Odmówić dachu, szczęściem się weselić—
Nie daj mi, Boże!

Zofja Zacharkiewiczówna.

Jak nazywamy tego, kto tylko o sobie myśli? Małe dziecko kocha rodziców i najbliższą rodzinę, — potem ogarniamy miłością kolegów, przyjaciół, znajomych,—w miarę, gdy coraz więcej pojmujemy, rozwijają się także i nasze uczucia, obejmują rodaków, przeszłość i rodzinną ziemię, nakoniec ludzkość całą i ideały przyszłości. Ale czy nowa miłość usuwa z serca poprzednią?

14. Wychowanie małych bocianków.

1. Najprzód do Dalewic przyleciały na wiosnę skowronki, później pokazały się bociany, a dzieci w chacie Makosza wołały:—Boćki lecą! — Po bocianach przybyły jaskółki; ostatniemi zaś przybyszami, już w kwietniu, były słowiki. Słowików corocznie znajdowała się tu jedna para, podobnie jak i bocianów, gnieżdżących się na stodole Makosza. Stadło bocianie zajęło się najprzód reparacją starego gniazda. Naprzemian więc to jedno, to drugie znosiło gałęzie, słomę, kawałki darni, szmaty; oboje wyrywali dziobami przegniły chróst, łatali dziury, utykali szpary, zagradzali, przegradzali, robili to, co robi wieśniak, gdy naprawia chałupę.

Po skończonej reparacji gniazda, żona bocianowa zniosła pięć jaj. Na jajach kolejno przesiadywali — to mąż, to żona, co chyba świadczy o wysoko rozwiniętym poczuciu rodzicielskiego obowiązku. Zagadką była dla mieszkańców Dalewic okoliczność, iż corocznie małżeństwo bocianie, naradziwszy się z sobą wyrzucało z gniazda jedno jaje, a niekiedy strącane było z gniazda nawet pisklę. Może to był i jaki ptasi przesąd, a mo-

że też chodziło o usunięcie z rodziny jakiego niedołęgi potomka, któryby w późniejszym życiu nie zdołał przenieść trudów ciężkiego bocianiego żywota i obronić, w razie potrzeby, rodzinnego gniazda.

Jeżeli parę bocianów nazywamy małżeństwem, to gniazdo ich możemy nazwać chatą. Otóż bociania chata umieszczona była na samym rogu Makoszowej stodoły. Czworo bocianków z szaremi dziobkami i takiemiż nogami zachowywało się nadzwyczaj przyzwoicie w gnieździe. Od pierwszych pieluch, aż do młodocianego wieku nie słyszano tam niesfornych krzyków; zdaje się, że ważna cnota karności zdobi młodzież w rodzie bocianim. Piszczały one niekiedy, a mianowicie, gdy przybywało do gniazda które z rodziców.

Pracowitość tej ptasiej rodziny, jej rozum w przeprowadzaniu podziału pracy, przywiązanie do gniazda, karność młodzieży, troskliwość, a nawet czułość rodzicielska, przytem różne inne cnoty—sprawiły, że ludność dalewicka, porównawszy sobie wspomniane zalety z ludzkiemi, musiała ptakom przyznać pierwszeństwo. Bociany więc wyrobiły sobie tutaj między ludźmi nietylko uznanie, ale rodzaj czci, na którą nie zasłużyłyby ani wrzaskliwe sroki, ani natrętne wróble, ani żarłoczne wrony i inne ptactwo.—Zabić boćka to ciężki grzech—mawiali starzy gospodarze, a dzieci wierzyły ojcom i to samo powtarzały później własnym dzieciom.

II.

Gdy przeminęły czasy wychowania, polegającego wyłącznie na odżywianiu, kiedy młode bociany podrosły i okryły się dobrym pierzem, rodzice zaczęli je nauczać. Polecono malcom stanąć prosto na gnieździe, zabraniając garbienia się i niedołężnego zginania nóg. Bocianki szybko pojęły, o co chodzi. Po tych ćwiczeniach gimnastycznych z nogami, nastąpiły ćwiczenia skrzydeł. Wielki szum słychać było na stodole Makosza, kiedy młodzież, stojąc w gnieździe, na komendę ojca lub matki wprawiała się w używanie skrzydeł.—Potem nastąpiły lekcje wznoszenia się na skrzydłach, najprzód o pa-

rę cali prostopadle nad gniazdem, z zastrzeżeniem silnem, że niewolno spaść na strzechę, a tembardziej na ziemię. Szło to powoli, ale wychowawcy byli pobłażliwi oraz cierpliwi. Niebawem nastąpiły marsze dłuższe po samym szczycie stodoły; ten i ów chwiał się, tracił równowagę, odzyskiwał ją znowu, aż młódź w rezultacie nauczyła się chodzić.

Dopieroż to radość była, kiedy jednego dnia matka zaczęła na skrzydłach opisywać koła nad gniazdem. Porwał się wtedy z szumem do góry synek pierworodny i dalejże za matką „a wkółko, a w kółko“. Inne dzieci, widząc że „nie święci garnki lepią“, poszły też w taniec. Niedosyć jest wznieść się w górę, ale trzeba umieć także opuszczać się na dół i osiadać tam, gdzie potrzeba. Więc pod tym względem bywały przypadki rozliczne: niejeden młodzieniec spadł na strzechę pochyłą i śliską, a matka z góry wołała nań z uśmiechem: Ratuj się, jak sam umiesz.—Przylatywał na takie popisy stary ojciec z łąki, rozlegało się wówczas głośne klekotanie, opowiadano mu radośnie, co to było.

Ale wychowanie nie kończyło się na tem. Dalsze jego części odbywały się na łąkach, które dzieci znały dotąd tylko z opowiadania. Tutaj musiały one nauczyć się poznawania różnych sygnałów niebezpieczeństwa; tutaj dowiedziały się, że nie należy uciekać przed krową, koniem, świnią, ale należy strzedz się rozpustnego psa. Okrom tego przyszło pozyskać wprawę w łowy różnego rodzaju, czemu towarzyszy, już w gnieździe rozpoczęta, pewna znajomość zoologji: co inne co jest żaba, co innego pisklę, skowronka, jaszczurka, wąż, salamandra, młody zajączek i t. p. Młody bocian musi wiedzieć, czem ma się karmić, oraz w jaki sposób, gdzie i kiedy zdobywać sobie kawałek chleba. Są to pewne obrzędy i ceremonje bocianie, polegające na modulowaniu głosu podczas klekotania, na przekrzywianiu szyji oraz głowy, trzepotaniu skrzydłami i t. p. Ważnym nadto i użytecznym przez całe życiu jest sposób tępienia pasożytów, a bardzo trudno nauczyć się stać na jednej nodze.

Ażeby zaś młodzież nauczyła się kochać i szanować rodzinne gniazdo, musiała do niego regularnie na noc powracać, jakkolwiek samodzielną już była.

Adolf Dygasiński.

(„Co się dzieje w gniazdach“).

Rozkład i opowiadanie. Czy tylko ludzie uczą i wychowują dzieci? Opowiedz. jak wychowuje małe pies, kot, kura? Czy bócian jest mądrym ptakiem? Co wiesz o jego zwyczajach?

15. Skarby.

Choć nie mam pól, choć nie mam łąk,
Ni lasu całych włók —
Mam nieba strop i świata krąg
Aż gdzieś po tęczy łuk.

Mam złoto gwiazd, purpurę zórz
I perły mlecznych dróg,
Szmaragdy niw, szafiry mórz,
Opale mglistych smug.

Mam każdy pęk rozkwitłych drzew
I róż pachnących dech,
I lasów szum i ptaków śpiew
I tysiąc brzmień i ech.

L. Rydel.

Co ten poeta rozumie za swoje bogactwo? Czy ten tylko jest bogaty, kto ma własną ziemię? Czy może być bogatym człowiek, który nie ma ani ziemi, ani swego majątku, żyje tylko ze swojej pracy? Gdzie każdy człowiek ma największe skarby? Czy bogacz może mieć ubogą duszę? Czy biedak może mieć duszę bogatą? Co to znaczy bogata dusza? Cobyś wybrał: bogatą duszę, czy majątek? Czy wszyscy ludzie jednakowoby wybrali?

16. List do kolegi.

Zawierucha, 9 lipca 1907 r., sobota.

Kochany Staśku!

(Porównanie).

Od tygodnia już jestem na wsi, nie uczę się, wcale nie widuję książki, pogoda cudowna, więc bujam po polach, kąpię się, jeżdżę konno, poprostu szaleję z uciechy, nie mogę się nacieszyć niebem, słońcem, lasem, powietrzem, polem, łąką przestrzenią, tem wszystkiem, co wieś daje, a czego, niestety tak nam brakuje w mieście.

Dzisiaj mieliśmy burzę, i teraz jeszcze leje, ale napewno wypogodzi się do jutra, a tymczasem znalazłem sobie jakieś pióro, potoknąłem dobrze wyschnięty kałamarz, i—jak widzisz—piszę do Ciebie. Stanęło mi jasno w myśli porównanie naszego życia w zimie i podczas wakacji, że muszę się podzielić z Tobą tą mądrością. To jest mądrość, bo przecież nikt mi tego nie tłumaczył, czerpię tę uwagę i myśli sam z siebie, więc są moim rozumem i moją mądrością.

Otóż przyznać muszę, że dziś pierwszy raz zatęskniłem do kolegów i do szkoły. Nic się równać nie może ze swobodą wiejską, ale może dlatego jeszcze tak nam smakuje, że jej nie mamy ciągle. Miasto jest więzieniem; nie lubię miasta, ale nie mogę zaprzeczyć, że zima i szkoła dużo nam daje dobrego. Po powrocie z wakacji skaczemy, jak ten nurek, głową na dół w rzekę robotę. Otacza nas nauka: rano, w południe, wieczorem. Skoła, dla szkoły, do szkoły, ze szkoły, i t. d. Poza szkołą świat przestaje dla nas istnieć. Nawet przyjemości i rozrywki zwykle łączą się ze szkołą, z koleżeństwem.

I daje nam to wiele bardzo pięknych wrażeń, chwil takich, które zostaną w pamięci na całe życie. Dziś oto pękła mi jakaś zasłona, i ujrzałem nowe światy, których nie domyślałem się wczoraj. Stają przedemną jakieś nowe słońca, nowe prawdy i nowe drogi. I to mi dała

szkoła, kilka słów nauczyciela. Jakimże zadowoleniem przejmuję mię poczucie, że coś wiem, że coś umiem! Albo koleżeństwo!—Jakże w nas serce rośnie i wzbiera uczuciem i hartuje się jakąś siłą, gdy jednoczymy się wszyscy w jakiejś wspólnej sprawie, — czy to dajemy możność kształcić się koledze, czy zaznaczamy zgodnie jakieś silne przekonanie!

Piękne jest koleżeństwo, piękna jest nauka, choć życie jednostajne nuży i męczy czasem. Zapominamy prawie, że poza szkołą i miastem jest świat szeroki, natura, do której tęsknimy bezwiednie.

A wtem nadchodzi lato. Pękają mury naszego więzienia, wyrywamy się z klatki i jesteśmy na swobodzie. Kto tu myśli o książce? I poco? Tu prostujemy się, jak drzewo zgięte, wyciągamy ramiona het, daleko szeroko, a z nieba, ziemi, słońca — spływa w nas siła i wiedza. Naprawdę, Staśku, ja to czuję. O sile nikt nie wątpi: ten ruch, swoboda, odpoczynek wzmacniają nasze ciało, nabieramy zdrowia, sił do pracy. Ale ja utrzymuję, że nic się nie ucząc, uczymy się i mądrzejemy podczas lata. Najpierw coś tam w głowie samo się porządkuje i składa z tego, cośmy słyszeli w zimie; a powtóre—patrzymy na życie natury i mimowolnie robimy tysiące spostrzeżeń, z których w nas rodzą się myśli, nasze własne myśli. Czyż nie nazwiesz tego nauką?

Powiedziałbym także, iż życie nasze w zimie jest więcej sztuczne, w lecie naturalne, ale sam sobie dokończ tego porównania, a może zanotujesz jeszcze niejedną różnicę, co przyniesie ci wielką korzyść, gdyż będzie samodzielnem Twojem spostrzeżeniem.

Tyczasem bądź zdrów i odpisz· gdy deszcz zacznie padać, bo w dzień pogodny nie mogę żądać, abyś trawił czas przy stoliku.

Pozdrawiam Cię serdecznie i życzę przyjemnego lata.

Twój Adaś.

Wytłumacz przysłowie· „Szkolne gospodarstwo, a z ksiąg hetmaństwo, oboje niepewne“ Czy tylko szkoła nas uczy? Co to znaczy: szkoła życia? Co każda z nich nam daje? Co znaczy: wykształcenie, rozum, mądrość?

17. Przyjaciele.

Zajączek młody,
Korzystając ze swobody,
Pasł się trawką, ziółkami, w polu i ogrodzie,
Z każdym w zgodzie.
A że był bardzo grzeczny, rozkoszny i miły,
Bardzo go wszystkie zwierzęta lubiły;
I on też, używając wszystkiego z weselem,
Wszystkich był przyjacielem.
Raz gdy wyszedł w świtaniu i bujał po łące,
Słyszy przerażające
Głosy trąb, psów szczekania, trzask wielki po lesie
Stanął, słucha,—dziwuje się;
A gdy się coraz zbliża hałas, wrzask srogi,
Zając w nogi.
Spojrzy poza siebie: aż dwa psy i strzelce!
Strwożon wielce,
Przecież wypadł na drogę, od psów się oddalił.
Spotkał konia, prosi go, iżby się użalił:
— Weź mnie na grzbiet i unieś.—Koń na to:—Nie mogę,
Ale od innych pewną będziesz miał załogę. —
Jakoż wół się nadarzył. — Ratuj, przyjacielu! —
Wół na to: — Takich, jak ja, zapewne niewielu
Znajdziesz, ale poczekaj i ukryj się w trawie.
Jałowica mnie czeka, niedługo zabawię,
A tymczasem masz kozła, on ci dopomoże. —
Kozieł: — Żal mi cię, nieboże,
Ale ci grzbieta nie dam, twardy, nie dogodzi,
Oto wełnista owca niedaleko chodzi,
Będzie ci miękko siedzieć. — Owca rzecze:
Ja nie przeczę,
Ale choć cię uniosę pomiędzy manowce,
Psy dogonią i zjedzą zająca i owcę;
Udaj się do cielęcia, które się tu pasie. —
— Jak ja ciebie mam wziąć na się,

Kiedy starsi nie wzięli?—ciele rzekło
I uciekło.
Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły,
Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

J. Krasicki.

Co znaczy przysłowie: „W biedzie poznasz przyjaciela“? Kto jest naprawdę naszym przyjacielem? Przykłady prawdziwej przyjaźni. Używamy tego imienia lekkomyślnie. Czy należy ten wiersz rozumieć dosłownie? Kogo oznaczają te wszystkie zwierzęta.

Tego rodzaju utwór, w którym ludzkie ułomności i charaktery są przedstawione pod postacią zwierząt, nazywa się bajką. Wymień tytuły znanych ci bajek.

18. Przyjaciele.

Zając miał za przyjaciół: konia, wołu, barana i osła. Kochał ich bardzo, lecz znał doskonale. Zdarzyło się jednego razu, że w lesie usłyszał strzały, szczekanie psów, nagankę. Zrozumiał co się dzieje, i z całych sił uciekał przed niebezpieczeństwem. Wypadł na łąkę, gdzie paśli się spokojnie jego czterej najlepsi przyjaciele.

Już chciał ich prosić o pomoc, ale przemknęły mu w myśli odpowiedzi, jakie usłyszy:

— Chętnie—odpowie koń—ale dziś nie mam czasu, może jutro.

— Zaraz, zaraz—rzeknie wół—tylko jeszcze trochę poleżę, bom się nieco przejadł.

— Widzisz, kochany zajączku—oświadczy baran—pomógłbym ci najchętniej, tylko że boję się o własne kudły.

— Dobrze—mruknie osieł—ale przynieś mi przedtem lwią skórę, abym mógł psy nastraszyć.

Tak sobie pomyślawszy, bo przecież znał dobrze swych kochanych przyjaciół — zając nie tracił czasu na

daremne próby, ale śmigał przed siebie, co miał siły. Dopadł krzaków z przeciwnej strony łąki i ocalał.

podług J. Lemańskiego.

Czy tego zająca także psy zjadły? Dlaczego nie? Czy nie trzeba wierzyć przyjaciolom?—Owszem, ale trzeba liczyć tylko na własne siły, bo często się mylimy, oceniając swoich przyjaciół. „W biedzie poznasz przyjaciela“ — to znaczy, że sam do ciebie przyjdzie w potrzebie, i ten będzie naprawdę przyjacielem. Szukać pomocy powinniśmy w sobie, we własnych siłach. To nam zjedna szacunek i prawdziwych przyjaciół Licz na siebie, a nie zginiesz, bo nie zmarnujesz czasu i energji, nie będziesz miał żalu do nikogo. I wtedy tylko znajdziesz przyjaciół prawdziwych.

19. Zabawa dziecięca.

(Wyjątek z listu do matki Słowackiego).

W tym miesiącu miałem przyjemną scenę. Wizytator szkółek tutejszych uprosił panią Pattey [1]), aby mu ogrodu na majówkę pozwoliła. Porobiono więc w ogrodzie wszelkie przygotowania, jak to: zasadzono słup, na wierzchu którego zawieszone były cacka dla dzieci, pozaczepiano na drzewach w alei hojdałki, pozastawiano stoły, i do tak urządzonego ogrodu o godzinie 1-ej weszły dzieci ordynkiem [2]), z bębnami wojskowemi na czele, niosąc mnóstwo chorągiewek... Nie uwierzysz mamo, jaki to ładny widok 400 dzieci, ładnie ubranych, ubogich, bogatych: z jaką wesołością wchodziły do ogrodu, jak mrówki rozsypały się po trawie, potem znów koło chorągiewek zasiadły.

Pani P., która zostawiła w Rosji małego synka, chodziła między dziećmi, szukając, czy którego podobnego nie znajdzie i łzy miała w oczach. Ja także niewiem dlaczego, oczy miałem łez pełne, i coś mnie dusiło w gardle... Prawdziwie, że nie wiem jakie to było

---

[1]) W pensjonacie pani Pattey w Szwajcarji mieszkał Juljusz Słowacki.

[2]) Ordynkiem—w porządku wojskowym.

uczucie. Człowiek najszczerzej płacze, kiedy płacze nad sobą samym, a ja wtenczas żałowałem siebie samego, że mię burza tak gwałtownie od wieku dziecinnego oddaliła.

Podczas gier cała nasza kompanja domowa siadła na ławce między dziećmi. Wtenczas przypomniałem sobie Czackiego [1]), przypomniałem własne uczucia, jakich doznawałem, odbierając oklaski na egzaminach, — i prosiłem wizytatora, aby mi prezentował pierwszego ucznia.

Natychmiast wizytator przyprowadził mi za rękę małego, 12-letniego chłopczyka, trochę chorego wtenczas. Wziąłem go za rekę, powiedziałem mu kilka pochlebiających rzeczy i dałem mu ładny medal mój... prosząc, aby sobie kiedyś będąc starszym, przypomniał tę chwilę. Wiecie, że podczas tej sceny wielu przytomnych łzy miało w oczach... mały chłopczyk ściskał mię za rękę i nie znalazł słowa na ustach. Droga mamo, są czasem chwile, o których myślę, że tybyś była ze mnie kontenta, i myśl ta będzie mi zawsze przytomną w życiu: pewny jestem, że mię do dobrego prowadzi.

Juljusz Słowacki.

Czy znasz jakie wiersze Juljusza Słowackiego? Czy wiesz, że ten poeta żył współcześnie z Adamem Mickiewiczem i niemniej pięknie od niego pisał, choć nie tak zrozmiale dla wszystkich. Był wygnańcem i umarł młodo. Matkę bardzo kochał i często pisywał do niej długie szczere listy.— Kształcił się w Wilne, tak samo jak Mickiewicz.

Czy w Polsce dzieci miały takie zabawy?

20. Z pamiętnika Zofji [2]).

— Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do kraju powróci,

---

[1]) Tadeusz Czacki, założyciel sławnego liceum krzemienieckiego.

[2]) Juljusz Słowacki pisał wierszyk ten na emigracji, tęskniąc za krajem, którego już nigdy nie miał zobaczyć.

To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj—bo to są najlepsi poeci.
Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
Będą ci całe poematy składać.
Jabym to samo powiedział,. co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać,
Bo tam, gdzie Ikwy [1]) srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.
Dzisiaj daleko pojechałem w gości,
I dalej los mię nieszczęśliwy goni.
Przywieź mi, Zosko, od tych gwiazd światłości,
Przywieź mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni,
Bo mi naprawdę odmłodnieć potrzeba;
Wróć mi więc z kraju taką—jakby z nieba.

Juljusz Słowacki.

Czy to jest opowiadanie, czy opis, czy wyrażenie uczuć i myśli.

21. Tęsknota do kraju.

Dzieci nie wiedzą zwykle, co to znaczy, może dopiero podczas wielkiej wojny ostatniej niektóre z nich poznały, jak smutno żyć zdala od swoich, od ludzi i od ziemi. Ale ponieważ Polska przeszło sto lat była w niewoli, pod panowaniem obcych, więc wygnańcami stawali się nieraz najlepsi jej synowie. Musieli kraj opuścić dla ocalenia życia. tułać się po obczyźnie bez powrotu, i wtedy to w ich sercach budziło się uczucie ogromnej, nieskończonej tęsknoty do kraju. I już nie opuszczało ich nigdy,—w pracy i odpoczynku, w zdrowiu i chorobie, w złych i szczęśliwych chwilach, aż do godziny śmierci tęsknili do swej ziemi i marzyli o niej.

---

[1]) Ikwa—rzeka Wołynia, rodzinnych stron Słowackiego.

Tak umierali polscy legioniści, którzy biegli na wezwanie Dąbrrwskiego, aby pod Napoleonem walczyć o przyszłość Polski,—tak umierali polscy poeci wygnańcy, pisarze, powstańcy z 30-go roku i późniejsi.

Mickiewicz wzywa Boga:

Przenoś moją duszę utęsknioną,
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,
Co tych pól, malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem!

Słowacki mówi Zosi, że w kraju każdy kwiatek, każda gwiazdka śpiewa i przemawia do serca jak najlepszy poeta, — że on się od nich nauczył poezji i tam jego serce zostało, bo to wszystko ukochał jeszcze dzieckiem, zanim los nieszczęśliwy zagnał go daleko. Prosi, aby mu z kraju przywiozła światłości tamtych gwiazd i woni tamtych kwiatów, aby odżył w swym wielkim smutku.

W jednym pięknym poemacie maluje Polaka wygnańca, którego czarownik usypia i wywołuje z niego duszę. A dusza, wydostawszy się z ciała ucieka do Polski. Przywołuje ją czarownik mocą swego słowa, a wtedy zasmucona opuszcza białe skrzydła i wraca do ciała zwolna i z boleścią.

Mieszkali oni przecież w najpiękniejszych krajach, we Włoszech, Szwajcarji, Francji, a jednak piękniejszemi wydawały im się polskie lasy sosnowe i równiny. Mickiewicz mówi:

U stóp moich kraina dostatków i krasy.
Nad głową jasne niebo, obok piękne lice,
Dlaczegóż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie i niestety, jeszcze dalsze czasy?...
(Gdzie) weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż (tu) rubinowe morwy, złote ananasy.

Zygmunt Krasicki marzy i pisze o Polsce, — w jednym poemacie przadstawia suchotnika - wygnańca, który umiera w pięknej włoskiej okolicy, słuchając opo-

wiadań wiernego sługi o naszych polach, łąkach, żniwach, sianokosach, borach szumiących, piaszczystych równinach.

Tęsknota do kraju skraca życie Klementynie Hoffmanowej. Teofil Lenartowicz marzy o wsi polskiej i w dumkach wypowiada żal, że nie ujrzy ich więcej. Wieluż innych jeszcze umiera i cierpi. Ich nazwiska dziś dla was obce, z czasem usłyszycie niejedno, a więcej jest takich, o których nikt nie wie, bo nie byli sławni i znani, chociaż tak samo czuli.

Tęsknota do kraju staje się czasem chorobą, nazywa się nostalgja i często zabija. Ci, którzy mogą mieszkać w swoim kraju, nawet nie wiedzą, że to wielkie szczęście, za które wygnańcy oddaliby życie.

Czy znasz wygnańców, którzy tęsknili do ojczyzny? O których wiesz i co?

22. Tęsknota.

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów nieba..,
Tęskno mi, Panie!

Do kraju tego, gdzie winą jest dużą
Popsować gniazdo na gruszy bocianie,
Bo wszystkim służą...
Tęskno mi, Panie!

Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony
Są jak odwieczne Chrystusa wyznanie:
„Bądź pochwalony“—
Tęskno mi, Panie!

C. Norwid.
poeta współczesny Mickiewiczowi.

Wytłumacz każdą strofkę.

23. Dumka wygnańca.

Na dolinie, na zielonej
Widzę w dali wioskę małą,
Domek płotem ogrodzony,
Na zakręcie brzozę białą;
Do gościńca droga długa,
Na niej lipy i topole,
Poza wzgórkiem srebrna struga,
A za strugą szczere pole.

Nawet kwiatki takież prawie
Na pagórku, na przydrożu:
Dziki piołun w bujnej trawie
I bławatki rosną w zbozu.
Gdyby jeszcze tam na boku
Krzyż się chylił na rozstaju,
A dąb siwy u potoku,
Tobym myślał, żem już w kraju.

Jaka cicha, szczęsna chatka,
Przy niej matka, dziewcząt dwoje...
Czemuż to nie moja matka?
Czemu to nie siostry moje?
Słońce zaszło za lasami,
Lud wesoły idzie z pracy,
Czemuż się nie cieszę z wami?
Czemuż wyście nie Polacy?

Ptak powrócił w swoje gniazdo,
Zwinął skrzydła utrudzone.
Chmurna losów moich gwiazdo,
Gdzież mię wiedziesz, w którą stronę?
Płyńcie, płyńcie łzy tęsknoty,
Nieutulne łzy tułacze,
Może jeśli dzień przepłaczę,
Noc przyniesie mi sen złoty.

T. Lenartowicz.

Czy to jest opis, czy opowiadanie?

24. Mali niewidomi.

(Z dziennika chłopca).

20 Czerwca, czwartek.

I.

Nauczyciel jest chory i przysłał na swoje miejsce tego, który był dawniej nauczycielem w Instytucie Niewidomych. Zaledwie wszedł do klasy i zobaczył jednego z uczniów z zawiązanem okiem, zaraz zapytał co mu jest w to oko?

Szanuj, chłopcze wzrok! Strzeż oczu! Dbaj o nie— mówił mu, dowiedziawszy się, że to nic wielkiego.

A wtedy Derossi zapytał: — Czy to prawda, panie nauczycielu, że pan uczył niewidomych chłopców?

-- Prawda. Przez długie lata.

— To niech pan opowie co o ślepych!

Nauczyciel odszedł od ławki, siadł przy swoim stoliku i pokiwał siwą głową.

— Ślepych... ślepych .. Tak mówisz ślepych, jakbyś mówił chorych, biednych, czy tam co... Ale czy ty dobrze rozumiesz znaczenie tego słowa! Pomyśl tylko.

Być ślepym... Nie widzieć nigdy, nigdy nic! Nie odróżnić dnia od nocy, nie widzieć słońca i nieba, ani rodziców własnych, ani nic z tego wszystkiego, co nas otacza, czego się dotknąć można. Być pogrążonym w wieczystej ciemności i jak gdyby pogrzebanym we wnętrznościach ziemi. Spróbójcie na chwilę zamknąć oczy i pomyśleć, że tak zostaniecie na zawsze! Alboż nie czujecie przestrachu i zgrozy? Alboż wam się nie zdaje, że niepodobna tak wytrzymać, że zaczniecie zaraz krzyczeć, że zwarjujecie chyba i pomrzecie...

A przecież moje dzieci, kto wejdzie po raz pierwszy do Instytutu Niewidomych podczas rekreacji, a posłyszy tych biedaków, jak grają na skrzypcach, na fletach, jak rozmawiają głośno i ze śmiechem, kto zobaczy, jak wbiegają na schody i zbiegają z nich szybkiemi

kroki, z jaką swobodą kręcą się po korytarzach, po sypialniach, ten nigdyby nie powiedział, że są tak nieszczęśliwi, jak są w istocie.

Trzeba im się tylko przypatrzyć.

Są tam młodzieńcy szesnasto i osiemnastoletni, silni i weseli, którzy kalectwo swoje znoszą jakby od niechcenia, owszem, jakby z brawurą [1]); ale widać z gorzkiego i dzikiego wyrazu ich twarzy, ile przecierpieli, ile przewalczyć musieli, zanim się pogodzili ze swoim nieszczęściem·

Są inni z twarzą bladą i łagodną, w której uderza wielka rezygnacja [2]), a przytem taki przejmujący smutek, iż łatwo zrozumieć, że jeszcze nieraz płaczą nad sobą w ukryciu.

Ach, dzieci moje! Pomyślcie tylko, że wielu z tych nieszczęśliwych straciło wzrok nagle, w dni kilka; że inni znowu oślepli po latach męczeństwa, po różnych okropnych operacjach. Że jeszcze inni urodzili się już niewidomemi, w jakiejś straszliwej nocy, która nigdy dla nich rozednieć nie miała, i że weszli w świat, jakby w wielki grób czarny, że nie wiedzą, jak twarz ludzka wygląda.

Więc kiedy pomyślę, ja, który na nich patrzałem lat tyle, kiedy wspomnę wszystkie te oczy, raz na zawsze zamknięte, wszystkie te źrenice bez wzroku, bez światła, bez życia, a potem spojrzę na was, to zdaje mi się niepodobieństwem, żebyście nie czuli, jak ogromnie szczęśliwi jesteście! Pomyślcie tylko: jest we Włoszech około dwudziestu sześciu tysięcy niewidomych!

Dwadzieścia sześć tysięcy ludzi, którzy nie widzą jasności dziennej! Rozumiecie? Przecież to cała armja, której przejście pod naszemi oknami zabrałoby przynajmniej cztery godziny czasu!

Nauczyciel zamilkł. W całej klasie nie było słychać nawet oddechu.

---

[1]) Brawura—śmiałość.

[2]) Rezygnacja—pogodzenie się z losem.

II.

Po chwili Derossi przerwał tę ogólną ciszę, pytając, czy prawda, że ociemniali mają zmysł dotykania delikatniejszy, niźli ci, co widzą?

— Prawda!—rzekł nauczyciel. — I nietylko dotykanie. Wszystkie inne zmysły doskonalą się u nich szybko, bo każdy z nich musi w pewnej mierze wzrok im zastępować. Po głosie mówiącej osoby umieją wzrost jej rozpoznać. My z oczu, ze spojrzenia odgadujemy duszę człowieka, oni z dźwięku mowy. Latami też całemi pamiętają brzmienie czyjegoś głosu. Rozpoznają, czy w pokoju jest jedna osoba, czy więcej, choć jedna tylko mówi. Dotknięciem miarkują, czy łyżka jest dobrze oczyszczona. Małe dzieci rozróżnić potrafią, wziąwszy wełnę w palce, czy jest farbowana. A gdy idą parami przez ulicę, rozróżnią powonieniem każdy sklep nieomal, taki nawet, w którym my żadnej nie czujemy woni.

Strzelają z procy i po świście pocisku wiedzą, gdzie padł, i prosto po niego idą. Biegają za kółkiem grają w kręgle, skaczą przez sznur, wyrabiają pudełka, kobiałki, koszyki, dokładnie podług rysunku. Takie mają czucie w palcach.

Ogromnie to wzruszający widok, kiedy ich poprowadzą do Muzeum przemysłowego i pozwolą im tam dotykać wszystkiego! Trzeba widzieć, z jaką radością rzucają się na figury geometryczne, na sprzęty domowe, na instrumenty, narzędzia, na modele domów, kościołów! Z jaką uciechą obwodzą dłonią kształt każdy, jak pocierają przedmioty palcami, jak wszystko obracają w ręku, żeby *widzieć*, jak to jest zrobione.

Uczą się z wielką łatwością. Mają do tego umyślnie przygotowane książki z wypukłym drukiem. Czytają biegle. Piszą bardzo chętnie wypracowania, a także listy pomiędzy sobą. A żebyście wiedzieli, jak pamiętają wszystko, jak malcy nawet rozprawiają między sobą o gramatyce i historji.

Każdego nauczyciela rozpoznać potrafią po odgło-

sie kroków, po woni odzieży. Między sobą żyją zgodnie, życzliwie: dobrzy z nich koledzy!

Mają bardzo jasne, bardzo bardzo głębokie pojęcie złego i dobrego. Żaden też z was, moje dzieci, nie odczuwa tak żywo, z takiem uniesieniem pięknego, szlachetnego czynu!

Muzykę miłują nadzwyczajnie. Muzyka to ich radość, ich życie! Muzyka dla ich serca tem, czem światło jest dla naszych oczu.

III.

Zamyślił się nauczyciel, podparłszy głowę, gdy wtem Derossi zapytał, czy nie możnaby iść tam ich zobaczyć?

— Owszem — odpowiedział nauczyciel — ale lepiej później, kiedy będziecie starsi, kiedy będziecie mogli pojąć cały ogrom takiego nieszczęścia i uczuć całe współczucie dla tych, którzy są nim dotknięci.

To bolesny widok, moje dzieci.

Wszak przechodząc tam niekiedy, widzicie chłopców, siedzących w otwartych oknach dla odetchnięcia świeżym dowietrzem, którzy, zdaje się, patrzą na szerokie, zielone doliny, na błękity gór, widnych tam zdala. I pomyślcie, że oni siedząc tak i patrzą, nie widzą nic i nic nigdy nie zobaczą z tej niezmiernej piękności rodzinnego kraju. Jeden z tych nieszczęśliwych tak mówił do mnie pewnego dnia z niewysłowionym smutkiem:

— Chciałbym, pragnąłbym gorąco, choć na jeden moment odzyskać wzrok dawny, żeby zobaczyć twarz mamy, bo już jej nie pamiętam prawie!

A kiedy matka przyszła go odwiedzić, dotykał twarzy jej rękoma, od czoła wodząc dłonią aż do brody, żeby uczuć jej drogie rysy, i jakby nie mogąc wyperswadować sobie, że jej nie zobaczy, wołał za nią:— Mamo! mamo! — jak gdyby błagając, żeby mu się objawiła, pokazała, żeby mu się dała widzieć choć na jedną chwilkę.

Kiedy się stamtąd wychodzi, to zdaje się, że ci, co widzą niebo, słońce i ludzi współbraci, są jakimś szczęśli-

wym wyjątkiem. Pewien jestem, że niema wpośród was takiego, któryby opuszczając tamte smutne progi, nie pragnął oddać choć odrobiny swego wzroku tym nieszczęsnym dzieciom, dla których słońce nie ma światła, a matka nie ma oblicza.

E. Amicis (Serce).

Jakie uczucia w człowieku szlachetnym budzi kalectwo, słabość, nieszczęście, cierpienie bliźniego.

Powiedz (napisz) wyrazy podobnego znaczenia, co: niewidomy, brawura, rezygnacja, twarz, brzmienie, kolor, powonienie, woń, smutek.

25. Słonko.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte, jasne, złote;
Szło nad gajem, szło nad łąką—
Napotkało w łzach sierotę.

Ten się żali: — Tak wesoło
Świecisz światu, słonko moje,
Uśmiechami sypiesz wkoło,
Gdy ja smutny we łzach stoję.

Obojętnie patrzysz na to,
Jak się ludzkie serca męczą...
I nad każdą ludzką stratą
Promienistą błyskasz tęczą.

Słonko na to: — Biedne dziecię!
I mnie smutno na niebiosach,
Gdy o waszym myślę świecie
I o ludzi ciężkich losach.

Lecz nie mogę ustać w drodze,
By nad każdą boleć raną,
Więc w złocistym blasku chodzę,
Wypełniając, co kazano.

Nie pomogą próżne żale...
Ból swój niebu trza polecić —
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść—i świecić!...

A Asnyk.

Jaki przykład daje nam słońce? W jaki sposób można „świecić" ludziom? Wymień mi czyny, które nam „świecą". Czy tylko wielkie czyny świecić mogą? Czy nie znaczy to również, że chociaż nam smutno i źle, nie mamy prawa zaniedbywać swego obowiązku? Może dasz przykład tych, co nam świecili i świecą.

26. W terminie.

I. Majster dobry był człowiek. Z początku, co prawda, wydawał mi się straszny, szczególniej gdy stał oparty na trzonku młota, oczekując, póki żelazo nie zacznie hycować [1]). Piersi miał zakryte grubym skórzanym fartuchem, który się zwieszał do kolan, ręce zakasane do łokci, grube i żylaste, twarz zaczerwienioną odblaskiem ognia. Obawiałem się, aby go czem w gniew nie wprawić, bo zdawało mi się, że jak wpadnę w jego ręce, żywy z nich nie wyjdę. Z biegiem czasu przekonałem się, że nie był on wcale straszny, a nawet był to człowiek wesoły i dobry. Przy pracy ciągle rozmawiał z uśmiechem na zasmolonej twarzy; gdy mu młotem uderzałem, zwracał do mnie ten uśmiech i ze mną rozmawiał, jakby z równym. Byłem z tego bardzo dumny. Lubiłem go też za to, że lubił brata mojego, Karolka. Na tyle co chłopiec nakręcił się po kuźni, nigdy na niego nie krzyknął, nieraz zaś krotochwilnie [2]) z nim rozmawiał i obiecywał, że skoro dojdzie do lat 12, przyjmie go do terminu.

Najwięcej mi pochlebiało, że miałem u majstra już

---

[1]) Hycować—spajać się.
[2]) Krotochwilnie—żartobliwie.

nie łaski, ale zaufanie. Sam słyszałem, jak mówił do majstrowej:

— Franek to rzetelny chłopak.

Co prawda, byłem mu dosyć rzetelny i jeśli co ruszyłem, to kawałki chleba dla Karolka. Od czasu więc, jak Andrzej, jego krewny, opuścił kuźnię, nikogo po zakupy żelaza nie posyłał, tylko mnie, chociaż byli starsi terminem.

Umiałem czytać, bośmy z bratem jeszcze za życia ojca przez trzy lata chodzili do ochrony. To też po kolacji czytywałem k u r j e r a na głos, z czego majstrowie byli radzi. Majster był niezmiernie ciekawy polityki, a zwłaszcza wojny, majstrowa zaś chciwa morderstw i zbrodni. Zrazu tom czytał, nic nie rozumiejąc, aby się majsterstwu przypodobać, dopiero później coraz więcej pojmować zacząłem i zajmować się pismami i książkami. Pożyczałem je, skąd się dało, i w święto po południu siadywałem z niemi na progu kuźni.

Wogóle nie mogę się skarżyć na termin. Nie był lekki to prawda, ale wytrzymać można. Majster uderzył tylko, gdy był pijany. Wprawdzie rękę miał nie lżejszą i nie mięksżą od kowalskiego młota, ale bił rzadko. Po trzeźwemu był dobry, łagodny i krotochwilny. Majstrowa też musiała być bardzo rozzłoszczona, jeśli którego w twarz chlasnęła, a choć i mnie to nie minęło, lubiła mnie trochę i chętnie się mną posługiwała. Chodziłem za nią z koszykiem na targi, a nieraz nawet sam robiłem mniejsze zakupy. Gdy zaś majsterstwo ze swojemi kumotrami i kumami wybrali się na Saską Kępę, mnie zabierano do nastawiania samowaru i usługi. Zazdrościli mi tego inni terminatorzy, bo przy takich ucztach obrywało się kawałek kiełbasy, a i z butelek wysączyć było można trochę wódki i piwa.

II.

Było nas u majstra 5 terminatorów, dla których urządzono w kącie kuźni oddzielne miejsce na spanie. Na półtora łokcia od sufitu był pokład, dostatecznie długi i szeroki, który opierał się na rusztowaniu drewnia-

nym. Pod tym pokładem stawiano koła, wymagające kucia, na pokładzie zaś leżały nasze sienniki, do których dostawaliśmy się po drabinie. Nie można tu było zachować innej pozy, tylko leżącą, bo tuż nad głowami—deski sufitu.

Gdy Karolek dostał którego dnia od opiekunów więcej klapsów, a mniej chleba, niż zwykle, przychodził wieczorem do kuźni, wdrapywał się z trudnością na drabinę i na czworakach pełzał do mego siennika. Obejmowałem go wtedy ramieniem i przytulałem do siebie. Zasypialiśmy razem, bardzo szczęśliwi. Rano pomagałem mu ubierać się, aby wyszedł, zanim majster wejdzie do kuźni.

Zdawało mi się, że gdybym Karolka dostał w swoją wyłączną opiekę, gdyby majster pozwolił mu sypiać ze mną i dzielić się mojem jedzeniem, byłoby już wszystkim nam dobrze na świecie. Nie śmiałem się jednak odezwać; obawiałem się majstra nawet wtedy, gdy śmiał się i był dobrym. Więcej śmiałości miałem do majstrowej i pewnego razu poprosiłem ją, ażebym mógł mieć Karolka przy sobie. Zbyła mnie byle czem, niewiele zważając na to, com mówił i nie rozumiejąc, aby to było tak ważną rzeczą dla mnie.

Niedługo potem zaszła ważna zmiana w życiu Karolka. Opiekunka jego wyprowadziła się na drugi koniec Solca. Gdym się o tem dowiedział, zląkłem się zrazu, ale potem przyszła mi dobra myśl.

— Nie chodź z niemi—rzekłem mu.

I pozostał. Spał razem ze mną i karmiłem go, jak mogłem. Coś trzeciego dnia majstrowa zauważyła:

— A cóż ten dzieciak przylata tu z tak daleka?

— E—odrzekłem—on nie przylata, on tu został,—nie chcieli go wziąć.

Majstrowa zaczęła się nad nim litować:

— I cóż on zrobi teraz, s i r o t a?.

— Żeby to pani majstrowa pozwoliła mu być przy mnie...

Pocałowałem ją w rękę i mrugnąłem na Karolka. Zrozumiał i pocałował ją także.

— Ale któż mu jeść da?—zapytała.

Obawiałem się, żeby o ten punkt nie rozbił się mój plan. Żeby więc uspokoić majstrową, iż żadnych ciężarów ponosić nie będzie, rzekłem wesoło:

— Waluś (starszy brat) zapłacił za niego praczce, co w suterenach mieszka.

Wprawdzie Waluś nie mógłby tyle zapłacić, byłem jednak pewny, że utrzymanie Karolka nie przyjdzie mi z trudnością. Chleba kupować nie potrzebowałem, bo u majstrowej (taki był zwyczaj) nie zamykano go: gdy kto był głodny, to krajał i jadł. Wtedy już posyłano mnie na miasto z odnoszeniem wykończonej roboty, a przy tem obrywało się niekiedy parę kopiejek za fatygę. Było więc za co do chleba dokupić jaki dodatek. Gdy zaś zbrakło tego, posyłałem malca do siostry Marysi, skąd wracał wesoły i syty.

Tak więc Karolek pozostał przy mnie.

III.

Przez ten czas w kuźni zmieniło się nieco na lepsze dla mnie. Ponieważ jedni terminatorzy, wyzwalając się na czeladników, opuszczali nasz warsztat, a inni, nowi, nic jeszcze nie umiejący, wstępowali, coraz więc było mi lepiej. Uczyłem się już teraz pilnie roboty i grubsze, a ważniejsze rzeczy od biedy sam potrafiłem odrobić. Kułem już konie podkową, którą sam wykrępowałem, również mogłem choć z trudnością zrobić obręcz i naciągnąć ją na koło. Brakło mi jeszcze siły, chociaż, jak na lat 14, byłem dosyć mocny i nie znajdowałem siłacza, któryby równym był mi jednocześnie siłą i wiekiem. Do kuchni już teraz nie zaglądałem, chyba zawołany do jedzenia; młodsi nosili za majstrową koszyki i torby. Tylko na Saską Kępę lub na Bielany zabierano mnie po dawnemu i z łask u majstrowej nie wypadałem. Lubiła mnie ciągle, choć doprawdy nie wiem czem na to zasłużyłem... chyba żem sierotą wstąpił do terminu.

W. Kosiakiewicz. (Nasz Mały).
(Współczesny dziennikarz i powieściopisarz).

Czy znasz bliżej jakiego terminatora? Czyja praca jest lżejsza: ucznia w szkole czy terminatora? Jakich rzemiosł młodzież uczy się w terminie? Czy mogłaby się ich nauczyć prędzej i łatwiej? gdzie?

Co znaczą wyrazy: uczeń, terminator, czeladnik, majster; terminować, wyzwolić się?

27. Szopka.

Słońce w Wisłę się chyli,
Mrze niedzieli dzień świętej,
Chce uciechę familji
Zrobić majster Jacenty.
Miasto huczy i brzęczy,
Bo karnawał na świecie,
I sen złota i tęczy
Jacentemu się plecie.

Wspomniał lata dziecięce,
Wspomniał dawne zwyczaje,
Serce bije goręcej,
A w źrenicach łza staje.
Próżno duszy wezbranie
Obojętną kryć maską,
I Jacenty, mospanie,
Woła szopkę warszawską.

W dużej izbie rodzina
Siadła społem pod ścianą,
Zacny majster wziął syna,
Swą latorośl kochaną.
Tuż majstrowa z córkami,
Babka stara i siwa;
— Kasiu, pójdźno, siądź z nami,
Niech i sługa używa.

Już przybyli szopkarze,
Już się szopka zaczyna:
Zaraz śmierć się pokaże,
Co królowi łeb ścina,

Ot, Krakowiak wywija,
Błyszczy świetnym sukmanem!
Ot, urocza lilija,
Małgorzatka z ułanem!

Dziatwa klaszcze radośnie,
Zachwycona z widoku;
Jacentemu pierś rośnie,
I łza srebrzy się w oku.
Babka patrzy i mruga
Zmęczonemi oczyma...
A pieśń płynie jak struga,
Na uwięzi myśl trzyma.

Aż gdy śmierć się z Herodem
Załatwiła nareszcie,
Z torbą, jakby z niewodem,
Wyszedł dziadek po kweście.
Pan Jacenty, człek znany,
Sypnął suto „co łaska“:
— Naści, dziadku kochany,
Wiwat, szopka warszawska!

Or-Ot.

Czy widziałeś kiedy szopkę? Co w niej stanowi najważniejsze przedstawienie? Co malują inne sceny? Czy wiesz, skąd powstała szopka? Dawniej nazywano to j a s e ł k a; chłopcy sami odgrywali je w kościele.

28. Przyjaciele robotnicy.

(Uwagi ojca w kajecie syna).

...Dlaczego, Henryku: „Już nigdy!?“ Przecież to będzie zależało od ciebia. Gdy skończysz czwartą klasę swojej szkoły, pójdziesz do gimnazjum, a oni zaczną pracować; prawda. Ale będziecie w jednem mieście, być może, przez długie lata.

Więc dlaczegożbyście się widywać nie mieli? Kiedy wstąpisz do uniwersytetu, albo do liceum, będziesz

ich odwiedzał w ich sklepach, w ich warsztatach, i zobaczysz, jak ci będzie miło mieć przyjaciół i towarzyszy lat dziecięcych między ludźmi pracy.

Czyżbyś nie pobiegł do Coretti'ego, do Precossi'ego, gdziekolwiekby byli? Pobiegniesz nieraz, spędzisz niejedną godzinę wraz z nimi i zobaczysz, poznawszy świat i życie, — ile od tych dawnych kolegów będziesz mógł nauczyć się takich rzeczy, których nikt inny nauczyćby cię nie potrafił. I o ich rzemiosłach, i o ich stanie społecznym, i o twoim własnym kraju.

I to jeszcze uważ, że gdybyś tych przyjaźni zachować nie umiał, to byłoby ci niezmiernie trudno zawrzeć w przyszłości podobne przyjaźni, t. j. poza klasą towarzyską, do której należysz. Człowiek zaś, który tylko w zakresie swojej klasy czyli sfery żyje, podobny jest do tego, kto umie czytać z jednej tylko książki.

Postanówże zaraz, mój chłopcze, dotrzymać przyjaźni swoim towarzyszom szkolnym i wtedy także, kiedy się rozłączycie, i odrazu zacznij wyróżniać tych przyjaciół właśnie dlatego, że są dziećmi robotników.

Widzisz to tak: ludzie, należący do klas wyższych, są jakby oficerami, a robotnicy jakby żołnierzami wielkiej narodowej armji. Ale tak samo w społeczeństwie, jak i w wojsku: żołnierz nie jest mniej godnym, niżeli oficer: bo godność w pracy leży, a nie w zapłacie, i leży w wartości, a nie w stopniu. Owszem, jest prawie coś godniejszego tak w żołnierzu, jak w robotniku, którzy ciężej pracując, mniejszy zysk odnoszą. Kochaj więc ich nad innych kolegów, szanuj synów wielkiej armji pracowników, uczcij w nich trudy i ciężką dolę ich rodziców! Wzgardź różnicami klas i stanów, podług których nikczemni tylko stopniują grzeczność swoją i uczucia swoje; pamiętaj, że krew błogosławiona, która ci odrodziła ojczyznę, wypłynęła wszystka niemal z żył robotników, pracujących w polach i przy warsztatach.

Kochaj Garrone'a, kochaj Precossi'ego, kochaj małego Coretti'ego, kochaj twojego „mularczyka", bo oni w swoich piersiach małych robotników mają książęce

serca, i niech żadna odmiana losu nie wydrze ci z duszy tych świętych dziecięcych przyjaźni.

I pomyśl: jeśli po latach czterdziestu, przechodząc koło jakiejś stacji kolei żelaznej, poznasz w bluzie maszynisty dawnego Garonne'a, z czarną od dymu twarzą, czyż nie skoczysz na maszynę, nie zarzucisz mu rąk na szyję, choćbyś był senatorem państwa?

Edmund Amicis. (Serce).

Co ludzi naprawdę różni między sobą: czy sfera, w której się urodzili, czy uczucia i charakter? Jeżeli jesteś kupcem, urzędnikiem, ziemianinem, czy bliższym ci jest wieśniak lub rzemieślnik Polak, czy kupiec, urzędnik lub ziemianin cudzoziemiec? Czy masz przyjaciół z innych klas społecznych?

Wszelką uczciwą pracę z głębi serca szanować należy.

29. Dobre rady.

Wstawaj rano, sypiaj twardo,
Hartuj duszę, jadaj miernie,
Z bólem łam się z młodu hardo,
A dochowaj słowa wiernie,
Ucz się słuchać, abyś umiał
Rozkazywać, gdy tak padnie,
Ucz się pracy, byś rozumiał,
Co tam w sercu leży na dnie.
Ucz się milczeć, byś treściwie
Umiał podnieść w niebo głosy,
Ucz się modlić, byś cierpliwie
Umiał wytrwać na złe losy.

Rano rozważ, co masz czynić,
Nim postawisz krok na progu,
A wieczorem licz się Bogu!
A już lepiej jest obwinić
W sercu siebie, niżli bliźnie,
Niż zadłużyć się Ojczyźnie.
Nic nie pocznij bez rozwagi,
Boga wzywaj do pomocy,

To nie zbraknie ci odwagi
Ani we dnie, ani w nocy.

W. Pol.
(Poeta XIX w.).

Wytłómacz każde zdanie tego wiersza. Czy to jest poezja, czy proza? Czy może być proza wierszem?

30. Przytułek noclegowy.

Czy byliście kiedy w domu noclegowym, wy, młodzi czytelnicy? Jabym was wszystkich zaprowadzić tam chciała, pokazać ten przybytek prawdziwej nędzy, bo pewna jestem, że na całe życie zachowalibyście jego wspomnienie.

Wielkie cztery sale mieszczą około trzystu osób. Pomyślcie: trzysta osób nie ma własnego dachu, a domów noclegowych jest w Warszawie cztery i zawsze są przepełnione.

Wejdźmy na lewo. Jest już późno, godzina jedenasta, przytułek pełny. Rzędami na ziemi, na gołej ziemi, leżą szeregi mężczyzn. Ostrożnie stąpajmy, bo jest ich tylu, że się pod ścianami pomieścić nie mogą; możemy nadeptać tych, którzy leżą na przejściu. Są między nimi zbrodniarze, są nałogowi pijacy,—ale ileż jest kalek, nieszczęśliwych, wydziedziczonych, iluż miało niegdyś dostatek, rodzinę? Dziś w przytułku szukać muszą schronienia.

Bywają między tym tłumem i młodzi a żądni nauki, i starzy, którzy goniąc za ideałem nie zdobyli chleba i chłopcy w waszym wieku, których tu zapędziła nędza lub próżniactwo.

Chodźmy na prawo: to sala kobiet. Jakież ich mnóstwo! Ach, jakie biedne te staruszki, których zbolałe ciało leżeć musi na gołej podłodze! Uważajcie: bez żadnej pościeli, bez odrobiny słomy.

Słyszycie: tu płaczą dzieci, więc tu są i matki. Tak, są, bywa ich nawet dużo. Matki, które dla maleńkich

nie mają kołyski, ani poduszeczki, nic, coby podłożyć mogły pod wychudzone ciałka.

Widziałam między temi kobietami matkę, która karmiła dwoje bliźniąt.

Pomyślcie, oh, pomyślcie, młodzi i szczęśliwi, o tej nędzy!

A jednak przytułek jest dobrodziejstwem. Za osiem groszy dostaje tu każdy biedak kubek herbaty, kawałek chleba i prawo do przebycia nocy w ogrzanym pokoju. I może tu ukryć swą niedolę, bo nikt nie pyta go o nazwisko. A szkoda że tych nazwisk wymienić wam nie mogę, znaleźlibyście miedzy niemi dużo takich, które w herbarzu Niesiecki [1]) wspomina. Stary, wytarty szal, cienka bielizna, schludny wygląd — zdradzają czasem przeszłość dostatnią, może świetną, ale to przebłyski, przy których dzień obecny jeszcze straszniej się odbija. Czy znajdą się serca, któreby z tego przybytku nędzy, upadku, próżniactwa wyławiały dzieci, potrzebujące opieki, matki, przeciążone obowiązkami nad siły, starców, których przeszłość karty dziejowej zasługi w wspomnieniach swych mieści?

A jednak ci najnędzniejsi i ci wydziedziczeni mają jaśniejszy dzień w roku.

Takim dniem jest dzień wigilijny Bożego Narodzenia. W przytułkach noclegowych zapalono także wigilijne drzewko dla tłumu nędzy, który odnajduje w tej uroczystości wspomnienie lepszych chwil i szlachetnieje może tem wspomnieniem.

Znalazły się może własnym bólem złamane serca, może osierocone i pozbawione pociech wigilijnej wieczerzy, które tę wigilję poszły dzielić z nędzarzami w przytułku. Tu ludzie dobrej woli łamali się opłatkiem z trzystu takimi, którzy prócz łachmanów, nie mają nic: — ani dachu, ani nawet sprzętu żadnego.

Z. Bukowiecka. (Dzieci Warszawy).
Autorka współczesna.

Czy człowiek, który ma rozum i serce, może żyć spokojnie szczęśliwie, bez troski, nic nie robiąc dla nędzy i nieszczęścia?
Wytłumacz przysłowie: „Długo radź, prędko czyń“.

---

[1]) Autor historji wielu rodów szlacheckich, czyli heraldyki.

31. Święta toga.

(Legenda).

Jak zakonowi był Jan Kanty wierny,
Tak był dla nędzy ludzkiej miłosierny.
Raz gdy z kolegjum śpieszył do kościoła,
Mróz był straszliwy; patrzy—człowiek leży,
Skostniały wszystek, prawie bez odzieży,
Siność twarz całą obeszła od czoła.
Strapił się Kanty,—nie było nikogo,
A więc zziębłego, co leżał nad drogą,
Jak mógł otulił swoją własną togą.
A gdy mszę cichą w kościele odprawił
Na intencję zziębłego żebraka,
Uprosił ludzi, by znieśli biedaka.
Ale Bóg cudem dla Kantego sprawił,
Że gdy w to miejsce spojrzał ponad drogą,
Miejsce na śniegu znacznie odtajało,
Lecz na ulicy nie było nikogo:
Znać ktoś go podjął—i dobrze się stało.
Lecz gdy Jan Kanty do celi swej wrócił,
Toga wisiała w swem miejscu na ścianie.
To się zatrwożył zrazu i zasmucił...
I wielkie było ludzi zadziwienie:
Bo cela była pod kluczem zamknięta.
To skąd się wzięła w celi toga święta?
Po dziś dzień jeszcze ta toga się chowa
U świętej Anny i w dziejach Krakowa
Słynie łaskami. I był zwyczaj stary,
Kiedy po Kantym obrano dziekana,
To po wyborze i mszy świętej z rana
Odwieczną togę na niego wkładano.
Aby Duch Święty zlał na niego dary,
Jakie Jan Kanty dał szkole na wiano.
Wskazują jeszcze miejsca na ulicy,
W których mąż Boży w miłosierdziu stawał,
I gdzie spotkawszy bosego człowieka,
Własne obuwie bez namysłu dawał;

Więc i oddawszy, pośpiesznie ucieka,
Nagie swe stopy przysłoniwszy togą,
Aby to jeszcze nie zgorszyło kogo;
Bo to się działo w zimie i po śniegu;
I wtedy tylko widziano go w biegu.
I lata biegły, i rosła nić złota
W cichem ukryciu świętego żywota.

W. Pol.

Św. Jan Kanty, profesor Akademji krakowskiej, słynął z miłosierdzia i pobożności.

Utwór wierszem lub prozą, opowiadający o zdarzeniach nadzwyczajnych, które się dzieją za sprawą Boga lub świętych, nazywa się legendą.

32. Przyjaciele św. Jana Kantego.

Pewnego razu święty Jan Kanty, profesor szkoły jagiellońskiej, dostał kosz jabłek. Były piękne, rumiane i pachnące. Ucieszył się na widok tak ślicznych owoców.

— Zaraz poślę je Szymonowi z Lipnicy — powiedział i skinął na chłopca, aby odniósł podarunek. — Szymon od ławy szkolnej był mu przyjacielem i zwykle jak bracia dzielili się wszystkiem.

Szymon z Lipnicy był zakonnikiem, Bernardynem. Właśnie kopał studnię w podwórzu klasztornem, kiedy chłopiec z jabłkami stanął przed nim.

— Przysyła wam Jan z Kąt — powiedział chłopiec i skłoniwszy się grzecznie, odszedł.

Szymon otarł pot z czoła, wyprostował postać schyloną, popatrzył na owoce i powiedział:

— Śliczne jabłka! Muszę je posłać Izajaszowi Bonarowi. Ubogim jest dziś braciszkiem w zakonie Augustjanów, a pochodzi z możnego rodu i bardziej od nas pewno brak odczuwa. Niech mu przyjemność sprawi ten przysmaczek.

Izajasz Bonar odmawiał pacierze, kiedy mu przyniesiesiono kosz z jabłkami. Z przyjemnością popatrzył na owoce.

— Dawno nie widziałem takich pięknych jabłek — pomyślał—wiem już, komu je poślę. Stach Kazimierczyk pracuje ciężko nad księgami, mięsa nie jada nigdy, a młody jest i potrzebuje pokrzepienia. Będzie miał chociaż jabłka do chleba i wody.

Stanisław Kazimierczyk był w bibljotece kasztornej u Bożego Ciała, kiedy przed nim postawiono śliczne jabłka. Blady, mizerny, chudy, uśmiechnął się do nich, ale nie przyszło mu na myśl skosztować. Czytał dalej pośród miłego zapachu.

Nakoniec podniósł głowę.

— Poślę je Świętosławowi ze Sławkowa—szepnął— wszystkiego sobie ten człowiek odmawia, lecz nie pogardzi może darem przyjaciela.

Świętosław ze Sławkowa przy kościele N. M. P. mile powitał jabłka, lecz odesłał je znowu Michałowi Giedrojciowi do klasztora świętego Marka.

Michał Giedrojć do wieczora zajęty był pośród ubogich i kalek, którym rozdzielał jałmużnę, wspierał dobrą radą, pocieszał w kłopotach i dodawał otuchy. Wróciwszy do swej celi, znalazł kosz przepysznych jabłek.

— A to dobrze! — zawołał. — Idę do Jana z Kąt, zaniosę mu te jabłka. Niech się niemi pokrzepi ten prawdziwie święty pracownik.

I zabrawszy kosz jabłek, udał się do Jana Kantego.

Tym sposobem prześliczne jabłka odwiedziły wszystkich przyjaciół Jana Kantego i wróciły do jego celi, aby dostać się w ręce dzieci, którym sprawią największą radość.

Podług **Miecz. Śleczkowskiej.**

Co wiesz o św. Janie Kantym? Jacy byli ci przyjaciele? Czy pamiętasz zdarzenie, kiedy św. Jan Kanty wrócił do zbójców, żeby im dobrowolnie oddać grosz znaleziony przy sobie, ponieważ przysiągł przedtem, że nic nie ma? Dlaczego to zrobił? Czy człowiek szlachetny kłamie? Czy można kłamstwo porównać do błota, które za dotknięciem wala?

33. Prawda.

Daleko, daleko, za górami, za morzami, w pięknym ogrodzie wyrósł kwiat cudowny.

Był wysoki, prościutki, miał jasno zielone wesołe listeczki,—purpurowa osłonka kwiatu wisiała jak próżne torebki, a on wystrzelił w górę bielszy od śniegu, niebieskawy po brzegach, jasny niby gwiazda, a pachnący tak prześlicznie, że się ludzie nacieszyć nim nie mogli.

Przychodziły dzieci i na widok kwiatka śmiały się z radości i klaskały w ręce, i rozbiegały się szczęśliwe jak aniołki.

Przychodzili ludzie spracowani i na widok kwiatka wracały im siły i ochota do pracy i nie czuli zmęczenia.

Przychodzili chorzy i zdrowie im wracało od cudownego zapachu i piękności kwiatu.

Przychodzili królowie i serca ich stawały się słodsze od miodu, a twarze pogodne i pełne dobroci.

Wszystkie serca biły radością na widok cudownego kwiatu.

Aż przyszedł człowiek, co miał fałszywe spojrzenie i zły uśmiech. Szukał kwiatu, ale nie widział, bo jego oczy nie mogły się na nim zatrzymać ani na jedną chwilę. Więc zaczął biedz przed siebie i złamał piękny kwiat, zdeptał łodygę.

Wtedy zaczął się śmiać i wołał.

— To nieprawda, niema pięknego kwiatu wcale.

Ale z korzenia już rosnąć zaczęła nowa łodyżka i wypuszczać listki.

Czy prawda jest na świecie? Czy wszyscy rozumieją jej piękność? Czy kto chciałby zniszczyć prawdę? Czy to byłoby możliwe? Czy mogliby ludzie żyć razem i pracować i być szczęśliwi, gdyby wszyscy kłamali? Co to znaczy walka dobra ze złem?

34. W kościele.

W kościele cisza, złote ołtarze
I marmurowych posągów twarze,

Filary białe i groby w cieniach
Drzemią. Posępna lampa gdzieś w dali
Przed krzyżem czarnym drżąco się pali.
W kościele cisza, jakby w marzeniach
Święci zasnęli... I tylko czasem
Jakowy obraz promień z wysoka,
Z poza ciemnego biegnąc obłoka,
Przez szyby złotym owinie pasem.
Wtedy obaczym twarz Marji Panny,
Jako twarz czystej gwiazdy zarannej,
Konającego Chrystusa głowę
Muśnie promieniem światło grobowe.
I znowu ciemno, cicho w kościele,
Duchy milczeniem o świecie radzą,
A jednak ludziom radzą tak wiele,
Milcząc — wsze światy prowadzą.

Przed żelaznemi drzwiami kościoła
Klęcząca postać — czy to anioła,
Czyli niewiasty, czy też duch jaki,
Co na tym świecie sprawia pokutę,
Pieśń duszy śpiewa na niemą nutę
I sercem takty wybije?

Cisza! Kto tę ciszę zrozumie,
Ten tylko z Bogiem rozmawiać umie,
Ten jeden pojmie anioła,
Co klęczy u drzwi kościoła.

L. Kondratowicz.

35. Zdarzenie prawdziwe.

Pewien lekarz wracał raz od chorego robotnika smutny i zamyślony. Nie spostrzegł nawet, że szedł pustą i źle oświetloną ulicą, co sięga już okopów.

Nagle uczuł, że ktoś go chwyta za rękę. Nie miał nawet kija, a zaczepiającym był silny, wyższy od niego mężczyzna.

— Obedrze mnie — pomyślał i przeliczył w pamięci pieniądze, wraz z wartością złotego zegarka.

— Czego chcesz?--zapytał jednak ostro, bo chciał nadrobić miną.

— Głodny jestem — odpowiedział pokornie nieznajomy — puszczono mnie wczoraj tu z tego więzienia, nie mogłem znaleźć żadnej roboty. Zlituj się panie, daj na chleb, bo inaczej muszę ukraść znowu.

Doktór odpiął palto i wyjął pugilares. Z mimowolnem jednak niedowierzaniem spojrzał na nieznajomego: sądził, że skorzysta z tej chwili, żeby mu wydrzeć pieniądze.

Biedak może odczuł myśl doktora, bo odsunął się o kilka kroków.

Na ulicy było wciąż pusto. Zdaleka tylko migotały światła w oknach więzienia, które lud zwykle Pawiakiem zowie.

Lekarz, zawstydzony niesłusznem posądzeniem biedaka, wręczył mu rubla.

— Gdyby taki, jak pan, był się znalazł wtedy, kiedy kradłem po raz pierwszy, nie byłbym złodziejem.

W głosie nędzarza drżały łzy.

— Co teraz myślisz robić z sobą?—zapytał doktór.

— Szukać roboty; za tego rubla kupię chleba i siekierę. Z siekierą znajdę zarobek przy galarach na Wiśle.

— Nie potrzebujesz więc pomocy?

— Nie, niech ją pan da takim, jak ja, którzy, wychodząc stąd, stają się znów złodziejami z głodu.

Wskazał na Pawiak i odszedł w stronę Powązek. Doktór popatrzył za nim, potem wolnym krokiem minął więzienie i dążył do miasta.

Pilno mu było uciec z pod tych ścian, poza któremi mieściło się tyle występków i tyle łez.

A ludzie nie zrobili nic dla wyrzutków, które po odsiedzeniu kary wracają do społeczeństwa.

Kainy, prawda. Winni, prawda. Ale między nimi może być głodny, co ukradł chleb dla dzieci; może być nawrócony, który chciałby odzyskać straconą godność. Czyż nie znajdzie się nikt, ktoby powołał szlachetnie

myślących ludzi do czuwania nad wychodzącymi z więzienia?

Z. **Bukowiecka.** (Dzieci Warszawy).

Obowiązkiem oświeconych czuwać i pracować nad ciemnymi, nie dopuszczać do występku, dostarczając im możności pracy, oswiaty, rozrywki szlachetnej.

36. Kamień na drodze.

Szedł Chrystus wązką parowu drogą
Z uczniami swymi,
I coraz trącił najświętszą nogą
O głaz na ziemi.

Rzekł tedy uczniom: — Zbierzmy z tej drogi
Trochę kamieni,
Bo kto wie, czyje zmęczone nogi
Krew zarumieni.

Może iść tędy człek zmordowany,
Pielgrzym zdaleka,
Którego — wodą by obmyć rany —
Któż z drogi czeka?

Więc się pochylił na rozkaz Boży
Każdy mąż święty,
I każdy w sakwę podróżną włoży
Kamień podjęty.

I poszli dalej z tym wziątkiem swoim
Wąwozu szyją,
Wiedząc, że spoczną w górze nad zdrojem,
Gdzie się napiją.

Lecz na wieczerzę kędyż w pustyni
Chleba dostanie?
Więc rzekli z wiarą, która cud czyni:
— Nakarm nas, Panie!

— Chleb w torbach macie, Chrystus powiada
Głosem łagodnym —
Niechaj spożywać go przy mnie siada
Ten, kto jest głodnym.

I chleb był w torbach, z twardych kamieni
Zmienion w tej chwili,
Jedli go wszyscy i posileni
Do syta byli.

Tylko Piotr święty woła: — O Chryste,
Głodny zostałem,
Bo w torbie mojej jeden zaiste
Kęs chleba miałem.

A Chrystus na to: — Bardzoś malusi
Wziął głaz kamienia,
Małym dla ciebie teraz być musi
Cud nakarmienia.

M. Ilnicka.

Co znaczy ta legenda? Dlaczego św. Piotr mało miał w torbie chleba? Czy to było sprawiedliwie? Jaką naukę chciał dać Chrystus apostołom? Czy ludzie skarżą się czasem niesłusznie, że mało mają? Co tu oznaczają kamienie, które Chrystus zbierać kazał?

37. Miłość bliźniego.

Piękny wzór prawdziwej miłości bliźniego daje nam święty Wincenty à Paulo.

Razu pewnego spotkał znajomą staruszkę, której twarz blada i wielkie cierpienie, malujące się w oczach, zwróciły jego uwagę.

— Cóż wam to, matko Le Brun?—zapytał z litością.—Czy spotkało was jakie nieszczęście?

Wtedy staruszka ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła ciężkim, długim płaczem. Bo też dotknął ją

cios okropny. Jedyny syn jej, którego św. Wincenty znał dobrze, człowiek młody, pracowity i uczciwy, lecz gwałtowny i nieumiejący panować nad sobą, zabił w kłótni przeciwnika, i skazany został na dziesięć lat ciężkich robót na galerach [1])

Św, Wincenty usiłował ją pocieszyć, że dziesięć lat niedługo upłynie, że za winę odpokutować zawsze trzeba, lecz w głębi duszy żal mu było nieszczęśliwego. Wiedział, że dła niego wyrzuty sumienia będą już ciężką karą, wiedział, że rozmyślnie nigdy nie popełniłby zabójstwa i że myśl o rodzinie, którą zostawił bez chleba, cięższą jeszcze dla niego musi być pokutą.

A tymczasem staruszka z płaczem opowiadała o wypadku i wskazywała statek w poblizkiej przystani, gdzie jej syn wśród zbrodniarzy pracował, okuty w kajdany.

Św. Wincenty przyrzekł jej nakoniec wstawić się za nieszczęśliwym i prosić zwierzchność o złagodzenie kary, a pożegnawszy staruszkę, udał się niezwłocznie do komendanta galer.

Pobożnego kapłana znano w mieście i szanowano, gdyż słynął z miłosierdzia i dobrych uczynków. Nie zdziwiło też komendanta, że prosił o pozwolenie odwiedzenia Jakóba Le Brun.

— Wprawdzie do galerników nikt nie ma dostępu — rzekł urzędnik — wam jednak nie mogę odmówić pozwolenia.

Gdy zobaczył pracującego w ciężkich okowach Jakóba, zbliżył się do niego i pozdrowił go życzliwie.

— Jak się masz, przyjacielu Jakóbie.

— Przyjacielu? — powtórzył galernik z goryczą, — czyż mam jeszcze przyjaciół?

— Widzisz mię przecie — rzekł św. Wincenty — przyszedłem cię uwolnić.

— Uwolnić? Jakim sposobem?

— Bardzo łatwym: weż moje suknie i odejdź, zostanę na twojem miejscu. Nikt nie zwróci na to uwagi. bo dozorcom o liczbę jeńców chodzi, a nie o ich osoby.

---

[1]) Galery—statki duże, na których pracują zbrodniarze.

Nieszczęśliwy Jakób uszom wierzyć nie chciał, — patrzył na księdza, pot wystąpił mu na czoło, głosu, wydobyć nie mógł.

— Nie, nie — szepnął nareszcie, opierając się pokusie—to byłoby gorszą zbrodnią. Być tu więźniem gorzej, niż utracić życie,

— Zastanów się — rzekł kapłan — że masz pięcioro dzieci, które zginą z głodu i nędzy. Jam samotny na świecie, służę Bogu — tu czy tam — wszystko mi jedno. Może mię Bóg tu posłał, abym wśród nieszczęśllwych głosił Jego naukę. Ty idź w pokoju i służ w miłości braciom swoim.

— Nie mogę, nie mogę!—powtarzał jeszcze Jakób.

Ale św. Wincenty korzystając z mroku, szybko zarzucił mu swój habit, sam wziął topór do ręki i schylił się nad pracą. Jakób prawie sam nie wiedział, jakim sposobem znalazł się znów na wolności.

W kilka tygodni potem zaczęto mówić w mieście o zniknięciu znanego wszystkim pobożnego księdza. Poszukiwano go wszędzie, badano ludzi, którzy coś o nim wiedzieli.

Nagle komendant galer przypomniał sobie odwiedziny św. Wincentego i natychmiast domyślił się prawdy. Znaleziono go rzeczywiście na statku, pracującego gorliwie pod palącymi promieniami słońca. Naturalnie, że został uwolniony, ale do końca życia nosił ślady kajdan na ręku.

Czy wielu ludzi byłoby zdolnych do takiej miłości bliźniego? Jak taki czyn nazwać można? Daj przykład spełnienia trudnego obowiązku poświęcenia i bobaterstwa.

38. Wielkanocne dzwony.

Cyt!... Czy znana ci muzyka
Co przez pola pełznie?
Ponad morzem mgłą pomyka,
Strząsa łezki na leszczynie,
A świt wstaje zadziwiony:
To świąteczne dzwony!

A czy znane ci to granie,
Co się w piersiach budzi?
Jakieś słodkie kołysanie,
Zda się nagle w łonie ludzi
Biją serca na wsze strony,
Jak huczące dzwony...

Słuchaj, słuchaj dzwonu bicia,
Co huczy rozgłośnie,
I nad wszystkie troski życia
Niesie pieśń o nowej wiośnie,
Aż duch wstaje umocniony —
Cyt!... Wielkanocne dzwony!

Bożydar.

39. Przypowieść o talentach

Podobne jest królestwo niebieskie panu, odjeżdżającemu w dalekę podróż, który, wezwawszy sługi swoje, rozdał im majętność swoją, dawszy jednemu pięć talentów [1]), drugiemu dwa, trzeciemu jeden. A który był wziął pięć talentów, robił nimi i zyskał drugie pięć; również i ten, który wziął dwa, zyskał drugie dwa, lecz ten, który dostał jeden, poszedł i zakopał go w ziemi. Gdy pan powrócił, przystąpił ten, który wziął pięć talentów, mówiąc: Otom drugie pięć zyskał. — Rzekł mu pan jego:—Dobrze sługo dobry, gdy wiernym byłeś nad małem, nad wielą cię postawię; wnijdź do wesela pana swego. To samo się stało ze sługą, który wziął dwa talenty. A gdy przystąpił ten, który był jeden talent wziął, rzekł pan: — Sługo zły i gnuśny, weźmijcie od niego talent i dajcie temu, który ma dziesięć talentów, a niepożytecznego sługę wrzućcie do ciemności.

Ks. Serwatowski.

---

[1]) Talent — moneta starożytna, wartości około 60 funtów srebra.

Co należy rozumieć przez „talenty“, które Pan powierza swym sługom do dobrego spożytkowania? Czy można za taki talent uważać zdrowie, siły, rozum, naukę, dostatek, władzę i t. d. Co ma oznaczać zakopanie talentu w ziemi? Jak powinniśmy naszych talentów używać)

40. Kamienie wyklęte.

(Legenda bretońska).

I.

Było to w Wigilję Bożego Narodzenia. Wiadomo, że w taką noc woły mogą się odzywać głosem ludzkim... a mówią ludzie, że dlatego to się dzieje, ponieważ te zwierzęta były świadkami Narodzenia Chrystusa Pana.

W owym czasie tułał się po tutejszej okolicy żebrak, zwany Plankoet.

Ten człowiek, jak mówiono, nie był ani żydem, ani chrześcijaninem, nigdy nie widziano go wchodzącego do kościoła, i dziwne o nim obiegały wieści. Utrzymywano, że umie rzucać uroki na ludzi i na bydło, że potrafi zsuszyć zboże na pniu, opróżnić orzechy z ziarna, zmrozić winne grona, skwasić wino w kadziach, stopić sól, poprzemieniać wszystkie pszczoły na trutnie i odjąć mleko krowom. A co najważniejsza byli tacy, którzy twierdzili, że ów żebrak, jak tylko zechce, może się przemienić w gobelina [1]).

Owóż ten niedowiarek wiedział, tak jak i wszyscy w okolicy, że co sto lat wyklęte kamienie z tej góry chodzą napoić się do morza, i że podczas kiedy piją, skarby, które się kryją po nimi, pozostają jawnymi dla każdego przechodzącego tamtędy, i dostępnymi dla lada śmiałka, który po nie sięgnąć się odważy. Jednakowoż takiemu śmiałkowi wielkie grozi niebezpieczeństwo, bo kamienie wyklęte, napoiwszy się w morzu, powracają na swoje miejsca i to tak szybko, że przygniatają

---

[1]) Gobelin albo wilkołak — człowiek który może, ile razy zechce, przybrać kształty zwierzęcia,

zwykle tych, którzy podczas ich nieobecności odważyli się sięgnąć po skarby. Istnieje jednak jeden sposób ustrzeżenia się od nich: należy im dać na pastwę jaką chrześcijańską duszę, a przytem trzymać w ręku kwiat paproci; każdemu zaś wiadomo, jak trudny jest taki kwiat do znalezienia. Ale Plankoet znalazł był już ten kwiat, brakło mu tylko duszy chrześcijańskiej, i w tym zamiarze wpadł mu jakoś w oko mój pradziadek, Piotr Bernez.

Poszedł więc Plankoet odwiedzić mojego pradziadka w wigilję Wigilji Bożego Narodzenia.

— Jutro—rzekł—wypada czas, w którym kamienie wyklęte mają iść napoić się w morzu. Czy chcesz, ażebyśmy poszli razem w celu wykradzenia skarbów, które znajdują się pod nimi?

— A czy masz paproć?—zapytał mój pradziadek!

— Naturalnie, że mam.

— Ale wiesz przecie, że oprócz tego potrzeba im dać na pastwę duszę chrześcijańską? — mówił dalej mój pradziadek.

— O, to znowu nie jest tak koniecznie potrzebne —rzekł Plankeot, który umyślił sobie poświęcić w ofierze mojego pradziadka.—Zwykle się zdarza, że one po. wracając, przytłoczą kogoś, a więc zawsze znajdą sobie duszę.

— To ma znaczyć — rzekł Bernez — że ażeby posiąść skarby tych wyklętych kamieni, ty pragniesz szatanowi iść na służbę. Ale ja wolę się trzymać Pana Boga, i zobaczymy kto wygra.

— A jakże sobie poradzisz? — zapytał go Plakoet.

— Pójdź ze mną—rzekł pradziadek—a zobaczysz.

To powiedziawszy, wziął młot i dłuto i udał się ku górom. Przybywszy tam, wybrał największy i najgrubszy z kamieni, przyłożył do niego dłuto, i bijąc młotkiem, począł w nim krzyż żłobić. Widząc to Plankoet, począł się śmiać, ale tak głośno, że echa okoliczne powtarzały śmiech jego, i zdawało się, że wszystkie kamienie wyklęte śmieją się także. Ale pradziadek, nie

zważając na to, kończył dalej swoje dzieło. I kiedy krzyż był gotów, rzekł do Plankoeta:

— A więc jutro o północy.

— Jutro o północy—odpowiedział Plankoet.

II.

Nazajutrz (była to właśnie Wigilja Bożego Narodzenia) obaj trochę przed północą spotkali się u stóp góry. Plankoet niósł z sobą z jakie dwanaście sporych sakw, zawieszonych naokoło pasa, a pradziadek mój miał w ręku poświęconą gałązkę palmową, którą w Kwietnią Niedzielę wyniósł był z kościoła. I obaj zaczęli wchodzić na górę.

— Cóż myślisz zrobić z nabytymi skarbami? — zapytał Plankoed; ciesząc się już z góry z pomyślnego skutku zamierzonego przedsięwzięcia.

— Udzielę ich ojcu, matce, braciom i siostrom.

— A dalej?

— Dalej, wybuduję piękny kościół dla Pana Boga.

— A dalej jeszcze?..

— Dalej... no, i cóż dalej... będę rozdawał pieniądze tym wszystkim, co mnie o to poproszą. Ale teraz ty mi powiedz, Plankoecie, co zamierzasz z swoimi skarbami uczynić?

— Zachowam je w wielkich skrzyniach i codziennie będę przerachowywał.

— A dalej?—zapytał pradziadek.

— Dalej... każę sobie piękny pałac postawić.

— A dalej jeszcze?...

— Dalej... dalej... będę pokazywał pieniądze wszystkim tym, którzy mię prosić będą o wsparcie, ale nie dam im ani grosza, żeby pozdychali z zawiści.

Tak rozmawiając, przybyli wreszcie na szczyt góry. I jak raz w tej chwili nadeszła północ, a obaj śmiałkowie usłyszeli nagle wielki huk i łoskot, jak gdyby ogromnych głazów, uderzających o siebie i roztrącających się na sztuki. Były to kamienie wyklęte, które biegły napoić się w morzu. Bernez i Plankoet zobaczyli je tuż obok, staczające się z góry, a czyniły one to tak

szybko, iż widocznem było jak wielkie pragnienie im dokucza. Kiedy wreszcie ostatni kamień przeleciał, Plankoed i mój pradziadek zbliżyli się do miejsc, które zajmowały przed chwilą i stanęli w osłupieniu. Było tam co niemiara złota, srebra, drogich kamieni i Bóg wie, jakich skarbów. Bernez upadł na kolana i począł dziękować Bogu, że takie skarby oddał mu do rozporządzenia, ale Plankoet nie tracąc czasu, począł napełniać sakwy i to tak szybko, że zadyszał się cały, co mu jednak nie przeszkadzało śmiać się z mojego pradziadka, który nie wziął był żadnego worka ani naczynia.

Ale mój pradziadek, pomodliwszy się, podniósł się także i począł nabierać złota do kieszeni, kiedy nagle straszny hałas dał się słyszeć. Były to kamienie wyklęte, które, napoiwszy się do syta, wracały na swoje miejsca, łamiąc i druzgocząc wszystko po drodze.

— Nogi za pas!—zawołał Plankoet, cofając się nabok i wystawiając naprzód rękę, w której trzymał paproć.

Mój pradziadek, tak się zląkł, że ze strachu zapomniał nawet wyjąć z za pazuchy poświęconej palmowej gałązki, a widząc kamienie, toczące się na niego całą masą, rzucił się na kolana, polecając duszę Bogu, bo zdawało mu się, że to już jego ostatnia godzina... I widział, jak kamienie ustępowały na jedną i na drugą stronę przed czarodziejskiem zielem, które Plankoet trzymał w ręku, a wszystko się ku niemu waliło z hałasem. Ale w chwili kiedy ten kamień, który biegł na przedzie, miał już uderzyć o niego, jakiś ogromny głaz, gruby, a wysoki, stanął pomiędzy nim a napastnikami, odtrącając ich na stronę. Spojrzał pradziadek i spostrzegł, że to ten sam kamień, na którym był krzyż wyżłobiony.

Zwolna wyklęte głazy pozajmowały swoje dawne miejsca, więc też i kamień z krzyżem, wypełniwszy swoją powinność, począł się toczyć ku odwiecznemu łożysku, ale w drodze napotkał Plankoeta, który stał z wystawioną na przód paprocią. Ponieważ jednak ziółko czarodziejskie nad kamieniem z krzyżem żadnej wła-

dzy nie miało, a nawet owszem głaz ten, jako świeżo znakiem świętym opatrzony, miał wstręt do wszelkiego szatańskwa, więc niby nie widząc czarownika, potrącił go tak silnie, że ten bez życia padł na miejscu. A pradziadek mój, odziedziczywszy po nim sakwy i wielkie skarby, został bardzo bogatym, wymurował, jako był przyrzekł, kościół dla pana Boga, a z reszty wraz z rodziną żył długo, swobodny i szczęśliwy.

W. Szymanowski.

Pisarz polski z drugiej połowy XIX w.

(Obrazki z życia znakomitych ludzi).

Gdzie leży Bretonja? Nad jakim morzem? Czy w kraju, w którym niema gór ani morza, mogła powstać taka legenda? Czy w innych baśniach i legendach spotykamy martwe przedmioty, obdarzone życiem? Przypomnij sobie baśń albo legendę, w której żyje, czuje, mówi, działa. Co to znaczy: „Wisłę przepłynął, na Dunajcu zginął"?

41. Mądry i głupi.

Nie nowina, że głupi mądrego przegadał,
Kontent więc, że mądry nic nie odpowiadał,
Tembardziej jeszcze krzyczeć przeraźliwie począł.
Nakoniec zmordowany, gdy sobie odpoczął.
Rzekł mądry, żeby nie był w odpowiedzi dłużny:
— Wiesz, dlaczego dzwon głośny? Bo wewnątrz jest próżny.

I. Lrasicki.

Czy mądrosć polega na gadaniu? Ludzie, którzy wiele myślą i zastanawiają się głęboko, nie mogą być gadatliwi. Kto dużo mówi i wygłasza wszystko, co mu przyjdzie do głowy, często powie głupstwo. To, co głupiemu wydaje się śmieszne, dla myślącego człowieka jest nieraz bardzo poważne. Co to znaczy: Człowiek do śmierci rozumu się uczy.

42. Mężny.

Gromadka chłopców utworzyła obóz Zielonych. Każdy miał przy kapeluszu kawałek zielonej wstążeczki.

Franka obrali wodzem, przysięgli sobie wierność, posłuszeństwo i założyli „Gniazdo“ na Zielonej Wyspie w Botanicznym ogrodzie. Na budce powiewała zielona chorągiew. Tam była ich jaskinia, kiedy się bawili w zbójców, twierdza, zamek królewski, lub stolica.

Lecz nie mieli dobrego placu do zabawy, bo w ogrodzie przeszkadzali im dozorcy. Postanowili zatem odebrać Błękitnym, chłopcom z innej szkoły, którzy oddawna wybrali sobie jako miejsce zabaw pustą przestrzeń, gdzie były składy drzewa i nie zamknięta szopa.

Wypowiedzieli wojnę. Franek poszedł na plac Błękitnych i zabrał im chorągiew ze szczytu ich twierdzy. Teraz wiedzą, czego mają oczekiwić.

Lecz i Zieloni byli zaniepokojeni. Zebrali się właśnie na Zielonej Wyspie, aby złożyć radę wojenną. gdyż w czasie ich nieobecności ktoś zabrał stąd zdobytą chorągiewkę, i tylko na mokrym piasku pozostały ślady nóg bardzo małych.

— Ktoś z Błękitnych napewno — rzekł przywódca. —Obcy zabrałby broń.

— Tak, tak—potwierdzili wszyscy.

Teraz dowódca zwrócił się do Jacka, który przeszedł do ich obozu, obrażony, że chłopcy z placu nie wybrali go wodzem.

— Jeśli chcesz zostać z nami, musisz złożyć przysięgę na nasze prawa.

— Zgoda—odparł Jacek. — Chcę pozostać z wami.

— Na jutro naznaczono początek napadu — mówił Franek dalej.—Zbierzemy się tu wszyscy zaraz po obiedzi i wyruszymy dwoma oddziałami. Jeden wejdzie na plac od strony tartaku, — drugiemu Jacek otworzy furtkę od drogi. Gdy tamci przyjdą, uderzymy na nich.

— Niech żyje wódz!—zawołali chłopcy i podnieśli lance do góry.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy chłopcy z placu nie wiedzą, że przeszedłeś do nas?

— Nie jeszcze. Ale choćby wiedzieli, to cóż? Wszyscy się mnie boją. Niema pomiędzy nimi ani jednego odważnego chłopca.

— Znajdzie się! — przerwał nagle jakiś cieniutki głos.

Wszyscy się obejrzeli. Franek spytał ze zdumieniem:

— Kto mówi?

Nikt nie odpowiedział, ale cieniutki głos powtórzył jeszcze donośniej:

— Znajdzie się!

Teraz usłyszeli wyraźnie, że głos dochodzi z wierzchołka drzewa. Niebawem też gałęzie zaszeleściły i w tej samej chwil zsunął się na ziemię mały, jasnowłosy chłopiec. Wszyscy milczeli, tak byli zdumieni zjawieniem się małego gościa.

Jacek zbladł i wyszeptał z przestrachem:

— Michaś!

— A malec odpowiedział:

— Tak, to ja. Oto jestem. Mogłem się nie odezwać, zostać tam na górze i czekać, aż się rozejdziecie, bo i tak siedzę już od wpół do czwartej, ale kiedy Jacek powiedział, że między nami niema ani jednego odważnego chłopca, pomyślałem: —Nie, nie, nie mogę pozwolić, żeby tak mówiono przy mnie. To wstyd. Jestem najmniejszy, ale mam odwagę. Odebrałem wam waszą chorągiew, chociaż jestem najmniejszy. Teraz możecie mnie zbić, wydrzyjcie mi chorągiew, bo jej dobrowolnie nie oddam. Jestem sam, a was dziesięciu.

Wyciągnął rękę, w której trzymał chorągiewkę i stał odważnie. Jeden z chłopców rzucił się, aby mu wyrwać chorągiew, ale Franek zawołał:

— Stój! Podoba mi się ten chłopiec. Czy chcesz się przyłączyć do nas?

— Ja? Nigdy!

Franek uśmiechnął się lekceważąco i odwrócił od niego.

— Nie będę cię przymuszał. Nikogo nie prosimy, żeby do nas wstąpił.

— Co z nim zrobimy? –zapytali inni.

— Zabierzcie mu chorągiew.

— Wykonane.

Michaś zacisnął zęby, stał nieruchomy, blady, nie wydał głosu.

Co z nim zrobić?—myślał dowódzca. Bić nie można, za słaby.

— Wykąpcie go.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Znakomiciel Podrzucili czapki i krzyknęli:—Wiwat!

Michaś milczał i zaciął usta. Opór na nic się nie przyda, zniesie tę przykrość mężnie. Nie zrobi wstydu towarzyszom.

Zanurzono go w głębokiej wodzie stawu aż po szyję. Jeden trzymał go za kark, a drugi za ręce, — inni wyskakiwali na brzegu, śmiejąc się i krzycząc. Nakoniec go puszczono.

Wyszedł natychmiast z wody mokry, zabłocony, ociekający wodą. Woda ciekła z kurtki, lała się jak z rynny.

Na ten widok chłopcy pokładali się ze śmiechu. Jacek spytał z szyderstwem:

— Jakże ci było?

— Dobrze—odpowiedział Michaś, zdejmując mokrą kurtkę.—Wolę tam moknąć w wodzie, niż tu śmiać się z wami—dodał, patrząc Jackowi prosto w oczy. Wolałbym cały rok siedzieć tam w wodzie, niż łączyć się z wrogami moich przyjaciół. Możecie mnie wrzucić do stawu sto razy, a ja przyjdę tu po chorągiew. Nie boję się nikogo z was. Nie sztuka dziesięciu pastwić się nad jednym. Możecie mnie bić, nie obronię się przed wami, ale wolę, żebyście mnie utopili, niż zostać—zdrajcą, jak ten.—

I wskazał ręką Jacka.

Wszyscy chłopcy umilkli. Zapanowała cisza, słychać było tylko szelest kropel wody, padającej z Michasia na ziemię.

— Czy mogę iść?—zapytał.

Nikt mu nie odpowiedział, więc czekał jeszcze chwilę, a potem zwrócił się w kierunku mostu. Nikt go nie zatrzymywał. Wszyscy czuli, że ten mały chłopiec po-

stąpił jak mężczyzna. Wartownicy na moście spojrzeli na niego, lecz żaden tknąć go nie śmiał.

Wtem rozległ się głos Franka.

— Prezentuj broń!

Straż podniosła łance z posrebrzanemi końcami. Wszyscy chłopcy stanęli w wojskowej pozycji i podniesli lance do góry. Nikt nic nie mówił, słychać tylko było kroki Michasia, coraz dalej,—dalej.

— Ja myślę—zauważył Jacek.

Lecz chłopcy odwrócili się od niego. — Odwrócili się i odeszli. Żaden na niego nie spojrzał, nie przemówił. Zrozumiał, że musi odejść. Skierował się ku mostowi—i szedł, tylko że nikt mu nie oddawał honorów wojskowych.

Molnari.

„Chłopcy z placu boju".

Osądź, jaki był Michaś, i dlaczego tak o nim sądzisz, — jaki był Jacek (dowody),—i jaki Franek?

43. Jak ma żyć Polak?

Polaka celem:
Skrucha przed Bogiem,
Mir z przyjacielem,
A walka w wrogiem.

Chętnie krew własną
Dać w dobrej sprawie,
Zacnie i jasno
Dążyć ku sławie.

Cześć dla siwizny,
Czyste sumienie,
Miłość Ojczyzny
I poświęcenie.

Umieć na progu
Złożyć urazy,
Mieć ufność w Bogu
I żyć bez skazy.

Trudy i znoje
Znosić z weselem,
To, dzieci moje,
Polaka celem.

W. Bełza.

Czy taki cel podoba ci się? Naucz się tego wiersza.

44. Co jabym ci chciała dać?

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Pyszny pałac na mieszkanie,
Z kolumnami, kryształami,
Złocistemi wezgłowiami
I miękkiemi kobiercami
Pod twe drobne stopy.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Mały domek na mieszkanie,
Z okienkami zielonemi,
Z ławeczkami brzozowemi,
Z akacjami cienistemi,
Na twe białe czoło.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Szafir nieba na ubranie,
Promień słońca na wianeczek,
I z gwiazdeczek pierścioneczek
Na twą śliczną rękę

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Biały muślin na ubranie,
Wianek, z chabru upleciony,
Krzyż, z olszynki wyrobiony,
I pierścionek, poświęcony
W samej Częstochowie.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Na co tylko Boga stanie:

Wiarę, niczem niewzruszoną,
Miłość, nigdy nie zdradzoną,
I szczęśliwość wymarzoną,
A trwałą na wieki.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Na co biedną ziemię stanie:
Śmiech z próżności tego świata,
Pobłażanie na grzech brata
I modlitwę, co ulata
Ku niebu w złej doli.

Narcyza Żmichowska.
Poetka polska XIX w. (1819—1800.)

Wytłumacz każdą strofkę tego wiersza.

45. Punktualność.

— Mój drogi, pożycz mi gieografji, jutro odniosę.

— O, nie, mój kochany, znam twoje odnoszenie,— albo jej wcale nie zobaczę, albo nie będę miał na czas.

Zawstydzony Władzio szuka innego dobrodzieja. Ale niełatwo znajdzie, wszyscy wiedzą, co znaczy jego obietnica.

— Władziu, trzy na dziewiątą, spóźnisz się do szkoły.

— Zaraz, zaraz, czapka mi się gdzieś podziała.

Naturalnie, że się spóźnia bardzo często.

— Wróć do domu prosto z kościoła, bo idziemy dzisiaj do babci. Pamiętaj, jak babcia lubi punktualność.

— Wiem, mamo, dzisiaj babci imieniny, nie zrobię jej przykrości.

I prosto z kościoła idzie do domu, ale na jedną chwilkę wstąpił do kolegi, tam spotkał znajomego chłopczyka, wyszli razem, rozmawiali, na minutkę skręcili w Marszałkowską zobaczyć w jednej wystawie model samolotu—no i spóźnił się tylko o godzinę.

Niebardzo się wesoło zaczęły imieniny babci, bo od bury.

— Kolej odchodzi o szóstej, więc nie wyjdziesz już z domu, bo się spóźnisz.

— Mamo droga, przecież to dopiero trzecia.

— Wpół do czwartej.

— To wszystko jedno.

— Dlatego się właśnie spóźniasz, że dla ciebie wszystko jedno: trzecia czy wpół do czwartej. A dla innych ludzi to wcale nie wszystko jedno, ani dla kolei.

Wyszedł, spóźnił się, przyjechał nazajutrz z wujaszkiem, ale to go nie nauczy: nie rozumie znaczenia czasu.

A to dla człowieka nieszczęście.

Z tego powodu Władzio szkół nie skończył. Z tego powodu nie mógł dostać poważniejszej pracy, któraby mu zapewniała spokojne życie. Nikt mu nie ufał, nikt mu nie chciał nic powierzyć: — Niepunktualny — z takim lepiej nie zaczynać.

Sam już zaczął rozumieć, ile stracił z tego powodu, lecz nie umiał się poprawić: — nie miał dość silnej woli, — zanadto mu to weszło w nałóg.

I przemarnował życie w biedzie, w ciężkiej walce o suchy kawałek chleba, bez rozumnych i wartościowych przyjaciół, którzyby mu pomogli.

Nie da się pomódz człowiekowi z taką wadą. Nie można mu dopomódz, on i pomoc zmarnuje, jak zmarnował siebie.

Biedny i nieszczęśliwy.

Zwróćcie uwagę na punktualność w życiu. Przypomnijcie sobie przykłady, ile wynika szkód, gdy nie liczymy się z czasem? Czy potrzebne są zegary? Po co je ludzie wymyślili? Czy to wielki wynalazek? Czy ułatwia życie? Czy można sobie z niego nic nie robić? Czy można wierzyć człowiekowi, który nie pamięta o czasie? Czy można z nim wspólnie pracować?

46. Wagi Ofira.

Najdawniejszym bogaczem świata był Ofir. Ziemie jego na tydzień drogi ciągnęły się wzdłuż Tygru [1]).

---

[1]) Tygr—Tygrys—rzeka w Azji.

Miał 2,000 niewolników, nad niemi 100 ekonomów i włódarzy, i posiadał wielką moc bydła.

Działo się to wkrótce po wygnaniu człowieka z raju. Nie widzieli już ludzie ówcześni tego miejsca, skąd przylatują i odlatują dusze, i wielu z nich przestało wierzyć w życie wiekuiste, a także w nagrody i kary. Miejsce to skryło się już za gwiazdami. Ale przy dniu pogodnym jeszcze można było widzieć w niebie Jehowę[1]), siedzącego na tronie złotym, z jaspisowemi[2]) kolumnami. Dokoła—wyżej i niżej (tak się zdawało patrzącym z ziemi)—wisiały wagi zasług ludzkich. Gdy kto umierał, wagi jego znikały. Gdy się kto rodził, wagi jego zawieszano, a wtedy talerz, na którym leżały skarby doczesne i ten, na którym były skarby wieczne — stały w równej mierze. Dopiero z biegiem życia jeden albo drugi talerz przeważał.

Waga Ofira co rok mocniej pochylała się w stronę majątku doczesnego i wszyscy mu zazdrościli, a Ofir sam był kontent.

Jednego dnia (miał Ofir już lat 120 i chodząc, opierać się musiał na prawnukach) ekonomowie i włódarze jego złożyli mu rachunki ostatnich zbiorów.

Było 20,000 owiec, 10,000 bydła, 4,000 wielbłądów, 3,000 niewolników, 500 osłów, 100,000 miar ryżu, 10,000 miar oliwy i nieprzebrane mnóstwo innych rzeczy. Każdy sykl[3]) wypożyczony przynosił bogaczowi sto syklów, a kto procentu nie płacił, stawał się jego niewolnikiem.

Kupcy z Zachodu, którzy u Ofira kupowali ryż, deski cedrowe i sierść zwierzą, zeznali pod przysięgą, że takiego jak on bogacza nie było jeszcze na ziemi.

I Ofir cieszył się. A gdy słońce zaszło, wsparty na prawnukach, poszedł spać do izby, która zamiast dachu miała szkarłatny namiot nad sobą.

Był to dla Ofira dzień wielki, lecz dla niewolników jak inne.

Gdy powiał gorący wiatr od południa i rozsunął makaty, bogacz widział zdaleka ognie zapalone przy

---

[1]) Jehowa—Bóg, stwórca i władca świata. [2]) Jaspis—rodzaj kwarcu zielonawego. [3]) Sykl—moneta.

młynach, które stu mocno okutych niewolników obracało. A jeżeli który ustał, albo chciał wody zaczerpnąć z kałuży dla zmoczenia warg spiekłych, włódarze siekli go tęgiemi batami od stóp do głowy. I całą noc słychać było w tamtej stronie turkot młynów, szczęk łańcuchów, chłostanie batami i wycie niewolników. Czasem tylko młyn nagle stawał, co było znakiem, że jaki niewolnik wyzionął ducha, a wtedy wagi jego zdejmowano z nieba.

Gdy powiał chłodniejszy wiatr od północy i rozsunął makaty, bogacz widział w tamtej strouie długi szereg jaskiń, gdzie spali niewolnicy. Stamtąd dolatywały go chrapania znużonych pracą, płacz matek i kwilenie niemowląt. Czasem który człowiek, przywalony innym, bo było ciasno w jaskiniach, zrywał się ze snu i wydobywał się na wierzch, a wtedy klęli go i potrącali inni, że im spać nie daje. Czasem spadł który w obrzydłą wilgoć i—topiąc się—ryczał. Innym złe robactwo zasnąć nie pozwalało, i ci, siedząc, rozmawiali o lepszych czasach.

Niekiedy na niebie ukazywały się nowe wagi, na których skarby wieczne i skarby doczesne stały w równej mierze. Wtedy Ofir wiedział, że mu przybywa jeden niewolnik. Rozpamiętując zaś, co widział i słyszał, rzekł do siebie, że wszystko jest dobrze.

Chciał się modlić za tyle dobrodziejstw i podniósł oczy ku niebu. Tam na złotym tronie siedział wielki Jehowa z obliczem spokojnym, i patrzał daleko, daleko, aż gdzie błyskawice spojrzeń jego stwarzały nowe piętra nieskończoności i światy przeogromne.

Wtedy pomyślał Ofir:

Co będzie, jeżeli Pan na mnie spojrzy? Czy pod jego wzrokiem nie rozpadłaby się w proch ziemia cała?

Wtem zobaczył nad głową Wszechmocnego wagi z napisem: Wagi Ofira. Jeden ich talerz, ze „skarbami wiecznymi“, był tak lekki, że unosił się w górę, aż tam, gdzie już nic nie było. Drugi talerz ze „skarbami doczesnymi“ zdawał się wciąż pochylać nad zamyślonem czołem Stwórcy. Ile razy niewolnik jęknął, albo bat chlusnął, albo kobieta zapłakała—tyle razy talerz „skar-

bów doczcsnych“ pochylał się mocniej, aż gięła się belka wagi.

Jeszcze chwila, a wagi Ofirowe potrącą Przedwiecznego.

Bogacz struchlał i uczuł straszny ból. Zdawało mu się, że najmocniej poraniony niewolnik, przysypany w swojej kałuży mrowiskiem robactwa—jest szczęśliwszy od niego w tej chwili.

A tymczasem młyn turkotał, dzwoniły łańcuchy, wyli ludzie, a wagi Ofirowe spadały wciąż niżej.

Na wschodzie ukazał się biały rąbek. Słońce nie mogło wzejść nad ziemię z obawy, aby nie zobaczyć, jak Pana potrącą wagi bogacza. Drzewa stuliły liście, ptactwo upadło na ziemię, a dzikie zwierzęta kryły oblicza swoje w piasku pustyni.

— Cały świat czekał na jakieś wielkie nieszczęście.

Wtedy Ofir szepnął zsiniałemi ustami:

— Całoroczny dochód mój oddaję niewolnikom!...

Na niebie waga drgnęła, i talerz skarbów doczesnych poszedł nieco w górę, choć daleko mu było do skarbów wiecznych.

Świat odetchnął, i pokazał się skrawek słońca.

Ofir zwołał ekonomów i kazał wszystkie roboty na dzień dzisiejszy wstrzymać, a potem sprowadzić niewolników przed siebie.

Waga podniosła się znowu w górę.

Gdy przyszli zdziwieni i zatrwożeni niewolnicy, Ofir rzekł do nich:

— Będziecie wykąpani dziś w wodzie czystej, a rany wasze będą wytarte oliwą.

Wagi szły w górę.

— Zamiast świńskiej żołędzi jeść będziecie mąkę. Łańcuchy zdejmą z was i bić przestaną. Dostaniecie płótna dla siebie i żon waszych i po dwa sykle pieniędzy.

Wagi szły w górę.

Niewolnicy z początku milczeli z bojaźni, czy ich pan nie zwarjował? Ale gdy poczęto rozdawać im mą-

kę, oliwę, płótno i po dwa sykle pieniędzy,, rozległ się okrzyk trzech tysięcy poranionych ludzi:

— Niech cię Bóg błogosławi!... Niech ci da szczęście!...

Wagi wciąż szły do równej miary, i już widać było talerz „skarbów wiecznych" — choć jeszcze bardzo wysoko.

Niewolnicy rozbiegli się do bliskiego miasteczka i poczęli kupować zabawki dla dzieci. Ten chwytał batóżek, inny świstawkę glinianą, inny papierowego pajaca, albo grzechotkę.

Gdy zaś wrócili do swoich jaskiń, usłyszano rzecz niezwykłą. Oto zamiast płaczu niewiast i kwilenia niemowląt rozległy się śmiechy, krzyki, świstania, strzelania z batożków i grzechotanie.

Waga Ofira spadła nagle do równej miary, i bogacz stał się jak dziecię, które przychodząc na świat, tyle posiada skarbów doczesnych, ile wiecznych.

Aż Jehowa, którego uszu dolatywały tylko płacz i skargi, usłyszawszy w ziemi Ofira śmiechy, błogosławieństwa, świstanie i grzechotanie dzieci—zadziwił się.

I oderwawszy wszechmocny wzrok swój od nieskończoności, w którą był zapatrzony, spojrzał na Ofira.

Starzec padł, jakby w niego sto gromów uderzyło, i już nie podniósł się. Duszę jego, niewinną jak dziecię, porwał wicher nadziemski i odniósł w odległą krainę, gdzie, Adam z Ewą zażywają wiekuistej młodości, i gdzie litościwy Abel tuli na własnej piersi łzami zalanego bratobójcę Kaina.

Bolesław Prus.

47. Ksiądz definitor.[1])

O milę w wiosce był dom plebana:
Mała świetlica, w ziemię schowana;
Krzyżyk się wznosił na facyjacie,
I człowiek Boży mieszkał w tej chacie:

---

[1]) Definitor—radca zakonny.

Ksiądz definitor, święty, wymowny,
Poważny wiekiem szlachcic herbowny,
Przybył z klasztoru w wioskowe progi
I wziął w opiekę kościół ubogi;
Wziął półwłócz gruntu—i na tej ziemi
Pracował równo z owieczki swemi.
Czy raz, bywało, widzieć się zdarza,
Jak święty starzec w porannej porze,
Czytając hymny z kart brewijarza,[1])
Bronuje zagon lub sieje zboże!
Dwa chromiejące kościelne dziady
To była jego cała posługa.
Ksiądz definitor, ojciec gromady,
Jedzie do lasu, kołków nastruga,
Ogrodzi cmentarz, przywlecze drzewa,
Nosi wiadrami wodę ze strugi,
A idąc, pacierz łaciński śpiewa.
Gdy chcesz mu oddać jakie posługi,
Nigdy nie przyjmie — uchyli głowę:
— Za dobre chęci zapłać ci, Chryste,
Masz waszeć, bratku, prace domowe,
Ja sam chcę orać pole ojczyste!
I tak modlitwę szepcząc pobożnie,
Sam sobie zorze, zasieje, pożnie.
Na jego sznurach najlepiej rodzi,
Jego przekosów [2]) nie znosi woda;
Gdy on na łąkę z kosą wychodzi,
Pewno dni kilka będzie pogoda.
Z długich doświadczeń jego jego żywota
Jakby wyrocznię mieli kmiotkowie:
Drożyzna, pomór, pogoda, słota —
Ksiądz definitor zawsze przepowie.
I cóż dziwnego? Wszak jego oko
Na firmamencie tkwiło zwyczajnie,
Myślami w niebo wsiąknął głęboko,
Podpatrzył, przeczuł niebieskie tajnie;

---

[1]) Brewjarz — zbiór modlitw do codziennego nabożeństwa kapłańskiego.
[2]) Przekosy—pokosy, rząd ściętej kosą trawy.

Może mu nawet w samotnej celi
I święci Pańscy coś poszepnęli.
Kiedy śpiew starca zadrżał w kościele,
Jakoś cię zawsze skrucha ogarnie;
Rzekłbyś:—Apostoł! kiedy w niedzielę
Prostemi słowy uczył owczarnię,
Kiedy tłumaczył ze świętej księgi,
Jak to pokorny Zbawiciel świata
Składa majestat Bożej potęgi
I w ciele ludzkim z człekiem się brata,
Bóg z nędzarzami żyje pospołu,
Między grzeszniki siada do stołu.
I daje siebie przybić do krzyża,
I składa ciało w człowieczym grobie:
Bóg się do ludzkiej postaci zniża,
By nas uzacnił, podniósł ku sobie.
A u nas szlachcic — jasne wielmożę,
Rad, że mu herby dała ojczyzna,
Bóg został człekiem, a on nie może,
Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna;
Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,
Hańba z rolnikikiem siadać do stołu.
Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
Za jeden puhar starego wina
Głodna i chłodna chłopska rodzina
Na rokby miała chleba i soli.
Za jedno słówko w najmniejszej rzeczy
Pany się waśnią, idą na noże:
Wieśniak pod chłostą jęknąć nie może,
Bo nie dla niego honor człowieczy! [1])

Tak tak bywało głośno i śmiele
Ksiądz definitor gromił w kościele.
Słów jego świętych nigdy nie zaćmi
Żadna nienawiść lub dzikość sroga;
W oczach do braci prośba za braćmi,
Ale za ludźmi prośba do Boga.

---

[1]) Ksiądz definitor był z czasów saskich.

Ani przeklina, ani slę dąsa,
Lecz z płaczem przyszłość stawi przed oczy—
Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,
Lecz do spowiedzi hurmem się tłoczy.
A spowiedź jego — wieczna nauka!
Nim rozgrzeszenia krzyżyk nakreśli,
Nim w trybunału kratkę zapuka,
Wynajdzie nitkę najskrytszych myśli,
I tak przekona, i tak poruszy,
Tak wpoi miłość, wiarę, nadzieję,
Że choćby grzesznik miał skałę w duszy,
Łzami z pod serca trzykroć się zleje.
A po spowiedzi długo, ach długo
Będzie spokojne sumienie twoje,
Będziesz skwapliwy z bratnią posługą,
Krzywdę bliźniemu wrócisz we troje;
Wesołe serce — och, popamięta,
Że w nim złożona Hostyja [1]) święta!
Kiedy wieczorna szarzeje pora,
On pieszo zwiedzał pobliskie domy:
Z dala poznałeś definitora
Po kapeluszu z zielonej słomy.
Za cieniem wzniosłej, świętej postawy
Szło zawsze wierne, pieszczone psisko,
Jak owca biały i kędzierzawy,
Pamiętam: S e r v u s jego nazwisko.
A ksiądz czeczotką [2]) kroki podpiera,
Idzie powoli i kwiatki zbiera.
On i w pałacu i w prostej chacie
Pomagał, radził, krzepił na duchu,
Z panem i chłopem za panie-bracie,
Jakby ogniwo w bratnim łańcuchu.

L. Kondratowicz.
Poeta polski XIX wieku.

Jaki był ksiądz definitor? Opowiedz wszystko, co z tych wierszy wiesz o nim. Czego uczył własnym przykładem? Co znaczą wyrazy: definitor, brewjarz, przekosy, czeczotka (4 znaczenia)?

---

[1]) Hostyja, brewijarz, facyjata—dla rytmu. [2]) Czeczotka— 1) drewno z pnia brzozy, nierówne, sęczkowate, 2) kij z drzewa czeczotkowego, 3) gatunek pliszki, 4) papla.

48. Dobroczynność Piotra Skargi.

Za panowania Zygmunta III słynął w Polsce z wymowy kaznodzieja królewski, ksiądz Piotr Skarga. Cichy, skromny, pobożny, miłosierny, ojciec ubogich, którym rozdawał wszystkie swe dochody, był zarazem prorokiem, napominającym Polaków, wytykającym ich błędy, nawołującym naród do poprawy, jeżeli chce uniknąć sprawiedliwej kary.

Dopominał się zgody, miłości ojczyzny, zapomnienia o własnych interesach dla dobra kraju, sprawiedliwości dla uciśnionych i słabych.

Choć śmiało mówił prawdę, szanowali go wszyscy i hojnie się sypały ofiary dla biednych na jego miłosierne ręce. Mimo to Skargą nigdy nie wystarczał dla wszystkich, którzy potrzebowali pomocy, odmawiał sobie nieraz najpotrzebniejszych rzeczy, byle dla innych było.

Razu pewnego jadąc do Krakowa, ujrzał w małym miasteczku zbiegowisko ludzi i dowiedział się, że sprzedają rzeczy biednego rzemieślnika, który się zadłużył z powodu choroby, a teraz nie ma czem zapłacić długu.

— Ile winien? — zapytał Skarga.

— Sto dukatów — odpowiedziano.

Dukat była to złota moneta, wartości dwudziestu złotych.

Skarga pojechał dalej, ale skoro się oddalili, wyjął pieniądze, policzył, czy znajdzie jeszcze sto dukatów, a ponieważ je miał, kazał swojemu woźnicy zostawić go na wózku, powrócić z pieniędzmi i kupić pierwszy sprzęt za sto dukatów.

Jakież było zdziwienie i radość rzemieślnika, gdy tym sposobem został ocalony od nędzy i mógł na nowo zabrać się do pracy dla swej licznej rodziny.

Kto był Piotr Skarga, kiedy żył? Co po nim wielkiego zostało? Jakim był dla ubogich? Jakim był Polakiem? Co przepowiadał?

49. Ojczyzna.

Ojczyzna moja — to ta ziemia droga,
Gdziem ujrzał słońce i gdziem poznał Boga,
Gdzie ojciec, bracia i gdzie matka miła
W polskiej mnie mowie pacierza uczyła.

Ojczyzna moja, to wioski i miasta,
Wśród pól zielonych sadzone od Piasta,
To rzeki, lasy i niwy, i łąki,
Gdzie pieśń nadziei śpiewają skowronki.

Ojczyzna moja — to praojców sława,
Szczerbiec Chrobrego, Cecorska buława,
To duch rycerski, szlachetny a męski,
To nasze wielkie zwycięstwa i klęski.

Ojczyzna moja to te ciche pola,
Które od wieku zdeptała niewola,
To te kurhany, te smętne mogiły,
Co jej swobody obrońców przykryły.

Ojczyzna moja to ten duch narodu,
Co żyje cudem wśród głodu i chłodu,
To ta nadzieja, co się w sercach kwieci,
Pracą u ojców, a piosnką u dzieci.

Jan Sawa.

Co jest twoją ojczyzną? Gdzie leży twoja ojczyzna? Co o niej wiesz? Jakie jej części znasz? Coś jej winien?

50. Anielka.

I.

Anielka siedziała na niewielkim wzgórzu i patrzała na drogę. Za ogrodzeniem ciągnął się gościniec do miasteczka. Zdaleka widać było furę, otoczoną tumanem kurzu, w którego kłębach iskrzyły się promienie słońca.

Bliżej, między konarami drzew; tuż naprzeciwko białych kominów dworu, stała chata włościanina Gajdy, a przy niej dziewczynka w grubej koszuli.

Siedziała ona na ziemi i okruchami chleba karmiła spore prosiątko. Potem wzięła ciągle chrząkające prosię na kolana i bawiła się nim, jak pieskiem.

Na Anielkę szczególna ta grupa wywierała taki wpływ jak magnes na żelazo. Zeskoczyła z ławki, zeszła ze wzgórka, ale po chwili zatrzymała się.

Gajdy, właściciela chaty, bardzo nie lubił ojciec Anielki; nie brano go nigdy na robotę do dworu, a że Gajda miał mało gruntu, więc często na terytorjach [1]) swego niegdyś pana dopuszczał się nadużyć.

Zniecierpliwiony dziedzic chciał już kupić grunt Gajdy, byle pozbyć się niewygodnego sąsiada, ale wieśniak nie słuchał podobnych propozycji. Nie było prawie miesiąca żeby Gajdzie nie zajęto krowy, konia albo świni. On wówczas chodził ze skargą do gminy [2]) i odbierał bydlę albo je wykupywał. Dziedzic mówił, że Gajda płaci pieniędzmi, wziętemi za drzewo, kradzione w dworskich lasach.

Anielka wiele o tem słyszała, bała się Gajdy i nie lubiła jego chaty. Mimo to pociągał ją widok dziewczyny, bawiącej się z pogardzonym przez wszystkich prosiątkiem. Zdawało się Anielce, że dziecko musi być biedne i dobre, a zresztą--coś ciągnęło ją tam.

Odgarniając gałęzie krzaków, Anielka powoli zbliżała się do płota, zbudowanego nakształt palisady. Był on stary, obrosły ciemno-zielonym mchem i popielatym porostem. Co kilkanaście kroków stały tęgie, zaostrzone słupy, które, zmęczone długoletnią służbą, całym ciężarem chyliły się naprzód, albo wywracały wtył.

II.

Zapominając o swych trzynastu latach i stanowisku dziedziczki, Anielka przez jeden z szerszych otwo-

---

[1]) Terytorjum—obręb ziemi, przestrzeń ziemi.

[2]) Gmina—kilkanaście wiosek pod zarządem jednego wójta, obieranego przez mieszkańców gminy.

rów wydostała się na dziedziniec i podeszła do dziewczyny w grubej koszuli.

Ubogie dziecko w pierwszej chwili przestraszyło się ładnie ubranej panienki ze dworu. Otworzyło szeroko usta i podniosło się z ziemi, jakby chcąc uciekać. Wtedy Anielka wydobyła sucharek z kieszeni i ukazując go dziewczynce, zawołała:

— Nie bój się mnie, ja ci przecież nic złego nie zrobię. Widzisz, com dla ciebie przyniosła! Pokosztuj to!

I włożyła dziecku do ust kawałek lukrowanego ciasta. Dziewczyna zjadła, nia spuszczając z Anielki zdziwionych oczu.

— Masz jeszcze. Smakuje ci? co?

— Dobre! — odpowiedziało dziecko.

Anielka usiadła na przewróconym pniu, obok niej przykucnęła na piasku dziewczynka.

— Jak ci na imię?—spytała, głaszcząc dziecko po jasno-żółtawych włosach.

— Magda.

— Masz, Magdziu, jeszcze sucharek. A to prosię czy twoje?—dodała, patrząc na prosiaka, którego Karuś chciał za ogon schwytać, i który odwrócił się do niego ryjem, pokwikując w sposób, okazujący mało ufności.

— Tatulowe — odparła już nieco ośmielona dziewczyna. Żeby go choć pies nie zagryzł...

— Karusek do nogi... — To ty zawsze bawisz się z prosiątkiem?

— A juści. Jałoszka już urosła, a Kaśka tego roku umarła... Malu! malu!... I on woli być ze mną, bo także nie ma z kim chodzić. Maciorę dziedzic kazali zastrzelić, a drobiazg tatulo sprzedali. Ino ten ostał.

— A za co maciorę zastrzelili?

— Bo ją zdybał dziedzic w szkodzie.

— Wyście tylko jedną mieli?

— A skądby więcej? Tatulo przecie chłop, to u nas dobytku nie może być wiele...

To mówiąc, głaskała prosiaka, który położył się obok niej.

— I bardzo ci było żal maciory?

— O, i jak! A jeszcze lepiej, kiej mnie tatuś zbili...

— Zbił cię?

— I — nie tak zbili, ino mnie wzięli za łeb i kopnęli parę razy nogą.

Dziecko opowiadało to spokojnie. Anielka aż pobladła. Zdawało jej się, że Karusek został zabity, i że ją samą skatowano tak okrutnie. Uczuła potrzebę wynagrodzenia tylu krzywd biednej, ale czem? Gdyby miała majątek, podarowałaby jej maciorę, sprawiła piękną sukienkę, — lecz dziś... cóż jej da?

Wtedy spostrzegła, że Magda, pilnie przypatruje się szafirowej wstążeczce, którą miała na szyi. Nie namyślając się więc, zdjęła szybko wstążkę i zawiązała ją przy koszuli małej.

— Teraz będziesz ubrana tak, jak ja — rzekła.

Magda roześmiała się na cały głos, wyobrażając sobie, że już posiada nietylko szafirową wstążkę, lecz i różową sukienkę, białe pończochy i wysokie buciki.

— A to jeszcze sobie zjedz—mówiła Anielka, dając jej drugi sucharek.

— Zjem aż jutro, bo to słodkie.

— A za to, że cię zbili...

Ucałowała ją.

Pocałunek przecie, który Anielka uważała za najwyższą nagradę, najmniej oddziałał na Magdę. Ściskała ona sucharek i co chwila spoglądała na szafirową wstążkę, myśląc, że jest całkiem podobna do wielkiej damy.

III.

Za konie, złapane w szkodzie, musiał Gajda zapłacić dziedzicowi trzy ruble. Odchodząc, groził pięścią i zaklinał się, że porachuje kości swojej dziewczynie.

Anielka słuchała tego z przerażeniem.

— Porachuje kości swojej dziewczynie! — powtórzyła, i dreszcz ją przebiegł. — Biedna Magda.

Myśląc o losie Magdy, nie mogła się uspokoić. Chciała ją ratować, ale jak?

Na prawo od ganku, za inspektami [1]), leżały budowle gospodarskie; stodoły, obory i stajnie. Tam poszedł Gajda z fornalem po swoje konie. Za parę minut wróci do domu i zacznie bić Magdę.

Anielka okrążyła dwór, skręcila na lewo za inspekta i pobiegła do płotu, ciągnącego się naprzeciw stajni aż do gościńca. Tu się zatrzymała, czekając na Gajdę, równie zatrwożona mającą nastąpić z nim rozmową, jak losem Magdy, jak wreszcie i tem, żeby jej samej nie spostrzegł ojciec.

Usłyszała powolny tętent kopyt i ciężkie kroki chłopa. W tej części płotu jedna ze sztachet była złamana. Anielka odsunęła ją, przeszła rów pełen pokrzyw, które jej ręce i nogi poparzyły, i zabiegła drogę Gajdzie.

Chłop, ujrzawszy ją, zatrzymał się i popatrzył ponuro na zbladłą twarz i bojaźliwe szafirowe oczy pańskiego dziecka.

— Gospodarzu — rzekła Anielka ledwie dosłyszalnym głosem.

— Czego — spytał krótko.

— Gospodarzu, prawda, że wy nie będziecie bili Magdy?

Chłop aż się cofnął.

— Posłuchajcie mnie, proszę was!.. Ona taka mat ła, czy mogła zatrzymać takie wielkie konie? Ona jestaka — o... mnie po ramię... Widzieliście wy jej ręce? Cóż ona poradzić mogła koniom takiemi rękoma? I pewnie bała się ich jeszcze... Ja, gdyby mi koń uciekł, płakałabym tylko... Ona może goniła je, ale... gdyby ją który uderzył kopytem, pewnieby ją zabił...

Na twarzy chłopa malowało się zdziwienie, graniczące z przestrachem. Z oczu, głosu, każdego ruchu Anielki biła taka potęga uczucia, że groźny olbrzym widział się wobec niej małym.

— O, nie bijcie jej! — mówiła Anielka, składając

---

[1]) Inspekta — zagon w ogrodzie, opatrzony pokryciem ze szkła.

ręce. — Wy jesteście tacy silni, a ona taka słaba... Gdybyście ją mocniej schwycili, moglibyście udusić... Żebyście wiedzieli, jak ona boi się teraz!... Pewnie siedzi w oknie i słucha, czy nie nadchodzicie... Musi płakać i trząść się... bo cóż ona poradzi? Konie zawiniły, a ją bić mają... Za co?

— Anielko! Anielko! — odezwał się głos z ogrodu.

Anielka na chwilę umilkła. Z rozpaczą niemal obejrzała się dokoła, a potem, jakby szczęśliwą myślą natchniona, szybkim ruchem wydobyła z poza gorsu złoty medaljonik i zdjęła go z szyi.

— Patrzcie, Gajdo. Ta Matka Boska jest złota i poświęcana w Rzymie. Dostałam ją od mamy... Kosztuje bardzo dużo... więcej niż 3 ruble. Dała mi ją mama i kazała przez całe życie nosić... Ale macie ją, byleście nic złego nie zrobili Magdzie!

Dziewczynka, trzymająca taką świętość w ręku, urosła w oczach chłopa do znaczenia księdza, trzymającego Hostję. Zdjął czapkę i bardzo wzruszony, przemówił:

— Schowaj se panienka ten obrazik przenajświętszy. Ja tam nie Żyd, żebym takiemi rzeczami handlował.

— A będziecie bili Magdę?

— Niech mnie Bóg broni! — rzekł, uderzając się w piersi.

— I nigdy?

— Już nigdy nie będę bił małych dzieci, boby chyba Pan Bóg jaką karę na mnie zesłał.

— Anielko! Anielko!

— No to bądźcie zdrowi! Dziękuję wam!

I cofając się do płotu, przesłała mu pocałunek ręką.

Chłop stał, patrzał na nią i słuchał ostatniego szelestu. Potem przeżegnał się i zaczął pacierz mówić. Chwila ta cofnęła go we wspomnieniach aż do pierwszej spowiedzi. Serce mu prędko biło. Gdyby widział cud, nie byłby więcej zmieszany.

Potem zaczął iść wolno, ze spuszczoną głową i znikł na zakręcie, trzymając wciąż czapkę w ręku.

B. Prus.

Jaka była Anielka? Co to znaczy: „Kto wiatr sieje burzę zbiera“. Jak nazwiesz tego rodzaju utwór?

51. Dwór wiejski.

...Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi,
I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi
Użątku, co pod strzechą zmieścić się nie może.
Widać, że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszerz smugów
Świecą gęsto, jak gwiazdy, widać z liczby pługów,
Orzących wcześnie łany ogromne ugoru,
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze, nakształt ogrodowych grządek,
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama nawściąż otwarta, przechodniom ogłasza,
Że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza.

Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek,
I obiegłszy dziedziniec, zawrócił przed ganek.
Wysiadł z powozu, konie, porzucone same,
Szczypiąc trawę, ciągnęły powoli pod bramę.
We dworze pusto: bo drzwi od ganku zamknięto
Zaszczepkami i kołkiem zaszczepki przetknięto.
Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać;
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.
Dawno domu nie widział, bo w dalekim mieście
Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.
Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule, jak swe znajome dawne;
Te same widzi sprzęty, też same obicia,
Z którymi się zabawiać lubił od powicia,
Lecz mniej wielkie, mniej piękne, niż się dawniej zdały.
I też same portrety na ścianach wisiały:
Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma
Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;

Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie
Siedzi Rejtan, żałosny po wolności stracie;
W ręku trzyma nóż, ostrzem zwrócony do łona,
A przed nim leży Fedon [1]) i żywot Katona[2]).
Dalej Jasiński, młodzian piękny i posępny;
Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny;
Stoją na szańcach Pragi, na stosach Moskali,
Siekąc wrogów, a Praga już się wkoło pali.
Nawet stary, stojący zegar kurantowy [3])
W drewnianej szafie poznał u wnijścia alkowy
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.

Adam Mickiewicz.

Kto był Rejtan? Jasiński?

Objaśnij wyrazy: ruczaj, chędogi, nawściąż, oburącz.

Opisz dwór wiejski, jaki znasz. Czem się dwór różni od chaty? Czem się różni od pałacu lub zamku? Czy pałac i zamek to jedno i to samo?

Objaśnij przysłowie: „Pszczoła, owca i pszenica — bogaciła dawniej szlachcica“.

52. Izba wiejska.

I.

Izba Łuczyny jest duża i czysta, Łuczyna lubi porządek, bo wie, że on i ubóstwo przyozdobić może. Co raz to przyniesie w ceberku wapna i oblepi komin i ściany; czasem nawet coś nie coś się z tego dostanie poczerniałym belkom pułapu. Drzwi do izby zbite są z desek sosnowych. Kiedy słońce zabłyśnie na wschodzie,

---

[1]) Fedon—tytuł dzieła filozofa greckiego, Platona, o nieśmiertelności duszy.

[2]) Kato — Rzymianin dzielnego charakteru i nieskażonej cnoty.

[3]) Zegar grający.

to smolne szpary i sęki przeświecają jakby szczerem złotem.

A tuż zaraz odzywa się jaskółka, która w sionce nade drzwiami ulepiła gniazdko i świergotem swoim budzi Małgosię, najstarszą córkę Łuczyny.

U drzwi na zewnątrz jest skobel żelazny, a przy nim na sznurku drewniana przetyczka. Kiedy Łuczyna z Małgosią w pole na robotę idzie, a Jędruś i Kasia, dwoje młodszych dzieci, pasą graniastą krowę na ugorze, to skobelek zatyka się przetyczką, żeby do izby nie wchodziły prosięta. W kącie przy drzwiach stoi duża, brzozowa miotła, którą Łuczyna codzień chędogo wymiata izb . W izbie niema podłogi z desek, tylko ubita mocno glina; taka podłoga z gliny nazywa się boisko. W boisku pod ścianą, w najciemniejszym kątku jest otwór, którym ze swojej jamki wysuwają się na izbę białe, puszyste króliki. Jak tylko zobaczy to Jędruś, zaraz je do siebie zwołuje i daje im to listków k pusty, to listków sałaty. to ziemniaków trochę. Jędruś bardzo się w królikach lubuje i wychował już sporą ich gromadkę. Jak nachowa ich więcej, to sprzeda i kupi sobie bucięta na zimę, bo matce ciężko wszystkiemu zaradzić.

Obok miotły stoją w kącie grabie, rydel i motyka. Narzędziami temi uprawia Łuczyna swój mały, zarosły wiśniami ogródek, w którym oprócz zagonków kopru, buraków, bobu i sałaty, widać zbite w kupkę pod okienkiem różowe malwy i żółte nagietki. Okienko ma szybki drobne i oddawna przepalone słońcem; śnieg je zasypuje zimą, a w lecie brzęczą po nim uprzykrzone muchy.

II.

Znaczną część izby zajmuje wielki, rozłożystym okapem [1]) opatrzony komin. Wczesnym rankiem, w południe i przed wieczorem rozpala Łuczyna wesoły, od suchego chróstu trzaskający ogień i gotuje przy nim to groch, i kapustę, to barszcz z żytniej mąki, do którego

---

[1]) Okap—rodzaj dachu murowanego nad kominem.

czasem buraka dorzuci, to zacierkę, to kaszę tatarczaną albo jaglaną, to nawet niekiedy, przy dużym święcie, siaki taki kawałek mięsa, ale najczęściej, bo trzy razy na dzień, gotuje Łuczyna ziemniaki. Ziemniaki bywają albo skrobane, albo w mundurach, czasem do kapusty, a nieraz do barszczu albo polewki, czasem do kwaśnego mleka, a na przednówku, kiedy w chacie bieda, to wprost tak gołe z solą,

Z prawej strony komina stoi na trzech wysokich nogach tak zwany „miśnik". Łuczyna zmywa w nim miski, garnki i łyżki. Nad miśnikiem przeciągnięty jest po ścianie sznurek, za którym sterczą pozatykane pokrywki. Nad sznurkiem przybite są dwie police. Na górnej, większej, stoją oparte o ścianę miski i rynki. Niższa i węższa powyrzynana jest z brzegu w rowki, w których tkwią blaszane i drewniane łyżki i warząchwie.

Z lewej strony komina stoją dwie konewki i kubełek z wodą; nad kubełkiem wisi na ścianie drewniana czerpaczka do picia. Na szerokim okapie stoi sól w drewnianej solniczce, leży nożyk żelazny do szatkowania kapusty i skrobaczka do skrobania kartofli. Wszystkie te statki Łuczyna pięknie co sobota piaskiem u studni szoruje, tak, że zawsze wyglądają jak nowe. Zaraz za konwiami stoją żarna. Jest to płytko wyżłobiona ciężka dębowa kłoda, w której otworze obraca się duży płaski kamień, osadzony na ruchomym drągu Na tych żarnach miele Łuczyna mąkę dla dzieci i robi kaszę. Twardy to chleb i w pocie czoła zdobyty.

III.

Za żarnami stoi na czterech cegłach ustawiona skrzynia. W skrzyni przechowuje Łuczyna swój nowy, w domu utkany wełniak, piękną kraciastą chustkę, fartuch zielony, watowany kaftan, trzewiki i wełniane zimowe pończoczy. W półskrzynku leżą zawinięte w szmatę dwa sznurki korali po matce i kilkanaście groszaków za jajka od siemieniatej kokoszy. Odzież Małgosi i Jędrka wisi na kołku nad skrzynią; mała Kasia przez lato

tylko w koszulinie chodzi, dopiero na zimę kupi jej matka jaką taką kątankę cieplejszą, tylko uskłada pieniędzy za masło. Wie o tem Kasia i pilnie pasie Granulę, żeby aby więcej mleka na masło owo dała.

Wprost okienka stoi łóżko, na którym sypia Łuczyna. Wysłane jest ono prostą żytnią słomą i grubą lnianą płachtą, na której leży pierzyna i dwie kraciaste poduszki. Pod pierzyną tulą się przez całą zimę przy matce Kasia i Małgosia. Latem śpią dziewczęta na drugiem, tylko słomą i płachtą zasłanym łóżku. Jędruś już wtedy wynosi się z izby do stodółki na siano, i dopiero, gdy św. Marcin przyjedzie na białym koniu [1]) i zimnem przestraszy, wraca chłopak na szeroki zapiecek, gdzie mu tylko z pod sukmanki nos widać.

Nad łóżkami wiszą oprawne za szkło obrazy: Matka Boska Częstochowska, św. Józef z lilją w ręku, św. Antoni z Dzieciątkiem Jezus i św. Barbara. Obrazy te stroją dziewczęta w kwiaty i pachnące ziółka. Czasem to i Jędruś zatknie za ramę pawie piórko, gdy je gdzie znajdzie, przechodząc mimo dworskiego podwórka. Tuż przy łóżku stoi zydelek, a przed nim kołowrotek z zawiniętą lnem miękkim prześlicą. Na tym kołowrotku przędzie Łuczyna przez zimowe wieczory i „doświtki“, nim to jeszcze późny dzień zimowy na dobre się rozwidni. Za belką zatknięte motowidło i drążek, na którym wisi przędza, pięknie w pasma pomotana. Cały kąt pomiędzy łóżkami a stojącą pod okienkiem ławą, przed którą stoi prosty, wązki stół, zajmuje tkacki warsztat domowy. Kiedy jesienią roboty w polu i w ogródku skończone, rozsnuwa na tym warsztacie Łuczyna zeszłoroczną przędzę i tka płótno. To cieńsze na sprzedaż do miasta albo do dworu, a to grubsze, „poczesne“, na koszule dla siebie i dla dzieci. Z najgrubszego, które się „zgrzebne“ zowie, szyją potem worki i płachty.

W takiej to izbie mija dzień po dniu pracowite

---

[1]) 11 listopada.

i pełne trudu życie wieśniacze. Dużo w niem troski, mało chleba i pociechy skąpo.

M. Konopnicka.

Niedawno zmarła poetka polska.

Czy byłeś w chacie wiejskiej? Czy umiałbyś nazwać sprzęty, jakie się w niej znajdują? Czy wszystkie chaty są jednakowe? Opisz chatę wiejską, jaką sam widziałeś.

Porównaj pożywienie włościanina i swoje; które jest posilniejsze? A kto więcej pracuje?

Co to jest pułap, boisko, okap, warząchew, rynka?

53. Wiochna.

Już słoneczko powstało
I przegląda się w rzece,
Oj, na rosę, na białą
Polecęż ja, polecę!
Jak to z brzozy płaczącej,
Co wyrosła nad rzeką,
Krople rosy świecącej
Zwieszają się i ciekną;
Jakie jasne obłoki
Na niebieskim przestworze,
Jakie czyste potoki!
O mój Boże! mój Boże!
Jaskółeczka przed bramą
Wciąż uwija się wkółko;
Ja nie jestem jaskółką,
A potrafię tak samo.
Teraz matki się boję,
Lecz niech ogień rozniecę,
Niechno krówki wydoję,
Polecęż ja, polecę!
Jak to dobrze Bóg zrobił,
Że ten piękny swiat stworzył,
Tak go ślicznie ozdobił,
Tyle kwiecia namnożył.
I że dał mi braciszka,
Z którym codzień się pieszczę.
Pójdę cicho, jak myszka,
Zajrzeć, czy też śpi jeszcze?
Śpi w kolejce, więc dalej,
Prędko ognia trza skrzesać;
Jak się ogień rozpali,
Pójdę włosy uczesać.
Oj, robotaż to nudna
Te warkocze do ziemi,
Plątanina, och, zmuda,
Tak tam bawić się z niemi.
Kiedy mówią o oczach,
W których ja nic nie widzę,
I o moich warkoczach,
To się tylko zawstydzę.
Skarżą się też, mój Boże,
Że mam oczy uroczne —
Może prawda,—a może...
Ale cóż ja z tem poczne?
Mateńka mi powiada,
Że ja wcale nie rosnę.

Niechno tylko popada
Ciepły deszczyk na wiosnę,
Niech ja na deszcz wyskoczę,
A dobrze się przemoczę,
To nim skończy się burza,
Już urosnę tak duża!

Pająk przędzie, oj przędzie
Swoje szare włókienko,—
I ja umiem tak cienko,
I moje też tak będzie.

Bo ja przecież coś umiem:
Kądziel przędę i pielę,
I na książce rozumiem
I zaśpiewam w kościele.
Jakem raz na święcone
Ulepiła baranka,
Co miał wełnę kręconą
I klęczące kolanka,
To się bardzo dziwiono,
Bo tak siedział, jak żywy,
Jak baranek prawdziwy,
Z chorągiewką czerwoną.
Jak zrobiłam w Trzy Króle
Świętą Pannę i Syna,
I czarnego Murzyna
Ze skarbami w szkatule,
I z liliją staruszka,
I z lirenką pastuszka, —
To się ludzie zbiegali,
Z całej wioski lecieli
I za głowy się brali,
Matce wierzyć nie chcieli!

A gaiki, a wianki
W listki srebrne i złote,
Jakie chcecie równianki
Jak najpiękniej uplotę.
Kwiatki lubię ogniście:
Boże drzewko, lilije,
I to, co tak na liście
I na prątki się wije.

Oj, niedobra to córka,
Co się próżno zabawia,
Dalejże do podwórka,
Trzeba ciągnąć żórawia!
Oj, da—dana!—A cicho!
Matka będzie się gniewać,
Podkusiło mię licho,
Chciałam sobie zaśpiewać.

Idzie w górę wiaderko,
Z boku woda się leje;
Spojrzę w wody lusterko—
W nim ja druga się śmieję.
Jak też to tam głęboko,
Nim się wiadro zabrodzi,
To aż wzdryga się oko,
Aż mię zimno przechodzi!
Nie spotka mię nic złego—
Choć nad studnią tak stoję,
Nie boję się niczego,
Oho! prawda—nie boję!
Najprzód straszą mię bąki,
Co latają w ogrodzie,
Żółte osy z nad łąki,
I jałówka co bodzie.
Potem boję się tęczy
Na wilgotnym obłoku,
Choć się do mnie tak wdzięczy,
Pijąc wodę z potoku.
Bo ta tęcza świecąca,
Gdybym poszła—broń Boże!
Z ziemi unieść mię może
Do białego miesiąca.
Wreszcie straszą mię grzmoty
I piorunów trzaskania,

Kiedy niebios blask złoty
Tak się strasznie odsłania.
Lecz w kościele nie czuję
By najmniejszej bojaźni—
Mnie tam radość przejmuje,
W sercu jeszcze mi raźniej,
Tak mi rzeźwo, wesoło,
Jak u matki w chałupie;
Ludzie szepczą wokoło:
—Ot, cieszy się, bo głupie!
A co mi tam, niech sobie!
Mnie ogarnia myśl błoga.
Co ja robię? Co robię?...
Raduję się do Boga.
Kiedyż może skowronek,
Wylatując nad kłosy,
Jak świt tylko, jak dzionek,
Trzepotać się w niebiosy,
To i mnie nikt nie wzbroni
Przed ołtarza jasnością
Złożyć oto tak dłonie
I spoglądać z radością!
U spowiedzi gdym była,
Ksiądz, co ludzi spowiada,
Mówił, gdybym zgrzeszyła,
Że pokutę mi zada.
Więc umyślnie dlatego
Dziś zgrzeszyłam od rana:
Na stół miodu złotego
Usączyłam ze dzbana,
Niechże zada raz przecie,
Bobym sobie myślała:
Otóż żyłam na świecie
A pokutym nie znała.

Jako ptaszek na roli
Prześpiewałam dni płoche
I nie znałam niedoli..
Oj, znam ci ją, znam trochę...
Już trzy razy płakałam,
I serdecznie, mój Boże!
Raz—gdy babka skonała
W tej tam ciemnej komorze—
A drugi raz—gdy w nocy
Ludzie po wsi biegali,
Krzycząc nagwałt pomocy,
Że kościołek się palił
A trzeci raz, gdy w progu
Stanął dziadek pochyły,
Taki oto ubogi,
Ale dobry i miły.
I piosenka zabrzmiała
O tułaczu, niewoli —
Wtedym bardzo płakała,
Bo mnie zaraz tu boli.
Całowałam go w rękę:
— Nie smućcie się, dziadulu.
A łzy żalu i bólu
Upadły mu w lirenkę.
Z za mgły słonko powstało,
Wronka kracze na roli,
Nie wiem, co mi się stało:
Coś mnie smuci, coś boli!...
To chciałabym zapłakać,
To mię pusta myśl łechce,
Weselić się i skakać —
I chciałabym i nie chcę...

T. Lenartowicz.

Porównaj Anielkę i Wiochnę. Czy znasz bliżej jaką wiejską dziewczynę? Co wiesz o niej? Czy to jest poezja czy proza?

54. Woda i wino.

Przymawiało jednego razu wino wodzie:
— Ja panom, a ty chłopom służysz ku wygodzie.
— Nie piłoby cię państwo—rzecze woda skromnie—
Gdyby chłop nie dał na cię, co chodzi pić do mnie.

I. Krasicki.

Jak to rozumieć?

55. Co Kurta robił w podwórku

I.

Pan Kurta miał w podwórku niemało roboty, za dużo nawet jak na psa o trzech tylko nogach, bo czwartą już dawno postradał w jakiejś wojennej przeprawie.

Zaledwie z rana pan Pietuch Pietusiński, czerwony kogut z drugiego podwórka, krzyknął mu przez płot: —Dzień dobry, sąsiedzie!—zrywał się zaraz Kurta, biegł do sionki i łapą we drzwi skrobał, póki gospodyni po wodę z wiadrem nie wyszła. Skakał wtedy koło niej pan Kurta wesoło, bo wiedział, że ta woda—to na barszcz, na śniadanie, i że jak się gospodarze najedzą, to mu też resztkę dadzą.

Ale do tego śniadania to jeszcze daleko. Gospodyni wodę do chaty wniosła, skopek wypłukała, wzięła stołek i poszła do obórki krowę doić. Pan Kurta wie, że tam niepotrzebny, mógłby jeszcze mleko wylać. Nie idzie więc do obórki, tylko się uwija koło gospodarza, który kosę na progu chaty klepie i wybiera się kosić łąkę. Słonko weszło pogodnie, rosa aż pachnie z pola, skowronki w powietrzu dzwonią, jak te dzwoneczki Boże. Gospodarz rad z takiego złotego dzionka, tylko sobie pogwizduje, a pan Kurta ogonem macha i także się raduje, choć sam nie wie czego.

— Pamiętaj, Kurta — mówił gospodarz — żebyś mi tu domu pilnował, jak gospodyni poniesie w pole śnia-

danie albo obiad. Niech cię Bóg broni, żebyś tu jakiej szkody dopuścił, miałbyś ze mną sprawę!

Pan Kurta wie, że sprawa z gospodarzem niebardzo bezpieczna dla jego grzbietu, podwinął tylko ogon i łasi się i naszczekuje z cicha, jakby mówił:—Już tylko wy się nie bójcie, gospodarzu, już tu wszystko będzie dobrze.

II.

Wyleciały z gniazdka jaskółki na świat Boży, a z izby wyszedł Maciuś i dalejże do Kurty:

— A mój Kurta! a moje psisko! A cóżeś ty w nocy robił?

Tu mój Kurta opowiada, jak umie, a wtem już gospodyni od doju wraca. Zaraz też Maciuś krajką się podpasuje, bierze w rękę okropne biczysko i krówkę w pole wygania. Za krową pędzi cielak, zadarłszy ogona. Pan Kurta wskok za nim. Wiadome rzeczy: cielę głupie, w szkodę wpaść może, a i krowa też rada skubnąć, co nie dla niej: rozsadę[1]) albo co. Więc Maciuś biczem śmiga, a Kurta zagania to od prawej, to od lewej strony, aż ich wszystko troje szczęśliwie za wrota wyprawił. Okropnie się przytem naszczekał i zmęczył, więc wpadł do chaty i siadł sobie na dwóch łapach przed kominem, gdzie gospodyni właśnie gotowała śniadanie. Woda wre, kipi, mój Kurta tylko macha ogonem z uciechy; wtem mała Maryś odetchnęła i zapłakała w kołysce. Pan Kurta niezmiernie lubi małą Marysię, zrywa się tedy od komina i sztykut, sztykut, biegnie do kąta, gdzie kołyska stoi, łeb na nią zakłada i Marysiną buzię czerwonym językiem liźnie raz i drugi. Jak tylko Maryś Kurtę zobaczyła, zaraz się roześmiała; a tu już gospodyni barszcz dymiący na miskę wylewa, dwojaki szykuje, jedne dla gospodarza, drugie dla Maciusia; sama też podjadła, do reszty trochę wody dolała i zawołała:—Na tu, Kurta, na!

---

[1]) Rozsada to znaczy kapusta gęsto zasiana, którą się potem rozsadza rzadziej.

Pan Kurta nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Skoczył tedy do misy, łeb w niej zanurzył i chlap, chlap, chlap, chlap! wychlapał wszystko do czysta, a resztę dobrze wylizał. Gospodyni tymczasem małą Marysię nakarmiła, umyła, włoski jej zaczesała, koszulkę czystą włożyła i posadziła ją na piasku przed chałupą. A tu już kury gdaczą w komórce, wypuścić je trzeba; poszła gospodyni do komórki zobaczyć, czy która kokoszka jajka nie zniosła. Zaledwie drzwi otworzyła, wszystkie kury z okrutnem gdakaniem i trzepotem wyleciały na podwórko, ponad głową, ponad płotem, gdzie! kto je tam dogoni! A mój Kurta za niemi! Kury gdaczą, Kurta szczeka, nibyto je zagania, a jeszcze bardziej płoszy, gospodyni krzyczy:—Kurta tu! Kurta na! Do nogi, Kurta, tu!

Wszystko na nic! jak zaczął gonić jarzębatą kokoszkę, tak jej wyrwał dwa pióra z ogona i dopiero wtedy się uspokoił, zgrzany, zziajany i z wywieszonym językiem.

Więc gospodyni raz i drugi przez łeb go trzepnęła, ale niewiele, bo jej było pilno nieść w pole śniadanie. Wzięła dwojaki, Kurta na nią miłosiernie patrzy, radby też w pole razem...

Ale gospodyni nogą tupnęła:—A leżeć! — Więc się zaraz przy Marysi położył, bo wiedział, że to jego rzecz dziecka pilnować, kiedy starsi w polu.

III.

Skrzypnęła furtka, gospodyni wyszła; Marysia w piasku grzebie się jak ten wróbel, a Kurta muchy łapie, ale nic złapać nie może. Co mu która mucha na nosie usiądzie, to on kłap pyskiem, a moja mucha już gdzie... daleko..!

Aż mu się to sprzykrzyło, więc się wyciągnął i chrapnął sobie. Tak chrapał, że nie słyszał nawet, jak Marysia płakać zaczęła. Płacze Marysia, a tu gospodyni do domu wraca. Usłyszała głos dziecka i zdaleka już woła:

— Co ci to, Maryś, co? cichoj, córeczko, cichoj!

Zerwał się Kurta, jakby nigdy nic, i raduje się, a ogonem macha i w oczy gospodyni patrzy, właśnie jakby mówił:—A to czysta bieda z temi dziećmi, proszę pani gospodyni? Co się tutaj Marysi nie nabawiłem, nie naperswadowałem, i to wszystko na nic! Maże się to, maże, sama nie wie, czego.—A o tem, że spał, ani piśnie. Nakarmiła gospodyni Marysię, uśpiła, ugotowała obiad, zjadła, statki pomyła, Kurcie też zacierek z serwatką dała. Mój Kurta jakby jeszcze nic dziś w pysku nie miał, chlap, chlap! wychlapał i wylizał wszystko do czysta. Przygotowała gospodyni znów dwojaki i niesie obiad w pole, a Kurcie przykazuje: — Pamiętaj, Kurta, żebyś tu chałupy pilnował. Niech ręka Boska broni, żeby się tu co stać miało!

Pan Kurta ogonem macha, podskakuje, zupełnie jakby obiecywał, że wszystko będzie dobrze; a kiedy gospodyni na skobel izbę zamknęła, położył się na progu i warczy.

— Będę warczał, myśli sobie, to jak tu przyjdzie dziad jaki, albo kto, to sobie pomyśli: — To jakieś zjadliwe psisko!—i pójdzie dalej.—Warczy więc, nogi pod siebie podkulił, żeby nie widać było, że ma tylko trzy, boby go się może nie bali. A tu słonko przygrzewa silnie, a drogą co wóz przejedzie, to kurzawa taka powstaje, że strach. Z dala, zdaleka słychać klepanie kos i stukot grabi i głos Maciusia, jak zawodzi na pastwisku: — Dana, oj dana! — I tak to wszystko jakoś razem zmorzyło pana Kurtę, że warczał coraz ciszej, aż nareszcie westchnął, ogon pod siebie podwinął i znów chrapnął. Aż tu furtka skrzyp, skrzyp... wszedł dziadek siwy, żebrzący, z sakwami na plecach i kosturem w ręku. Wszedł i od furtki zaraz się odzywa:—Niech będzie pochwalony! — A mój Kurta jak nie skoczy, jak się na dziadka nie porwie, jak nie zacznie ujadać: ham, ham! ham, ham! aż ochrypł. A co go najbardziej gniewało, to że dziadek nic sobie jakoś z tego szczekania nie robi, tylko się zwolna kosturem opędza, a pacierz sobie mówi. Już głosu z siebie Kurta dobyć nie mógł, tak się zmordował, kiedy gospodyni nareszcie wróciła z pola.

Jak zobaczyła dziadka, tak zaraz na Kurtę: — A cicho! a leżeć, do nogi, a nie rusz!—Uspokoił się Kurta nieco i pod próg leżeć poszedł. Ale co spojrzał na dziada, to się w nim jeszcze gotowało ze złości, i coraz to warknął i zęby pokazał.

IV.

Leży sobie Kurta i zęby pokazuje, aż tu wieprzak wyrwał się z chlewa. Gospodyni za nim: — A do chlewa! A do chlewa! A ciu! — Zerwał się Kurta i dalej za wieprzakiem. Co prawda, niebardzo mu się chciało tak uganiać, bo się z tym dziadem tak okrutnie zmordował, ale bał się gospodyni. Mogłaby mu kartofli na wieczór nie dać, i dopieroby było! A gospodyni jak na złość woła:—Nuż go, Kurta!— niby tego wieprzka. Mój wieprzak w ogród — Kurta za nim; tylko smyrgnął przez płot, zaleciał z prawej strony, wieprzak wlewo; zaleciał z lewej — wieprzak wprawo. Oj, namęczył się niemało, zanim go nareszcie przy pomocy gospodyni z ogrodu wypłoszył i do chlewka zapędził.

Dopadł potem do studni i z koryta wody się napił, a potem pod gruszę, co na podwórku rosła, na trawę się rzucił i dyszał, wywiesiwszy język. Właśnie i słońce zniżać się poczęło. Od pastwisk, od boru słychać było klaskanie biczów i poryk wracającego bydła, gospodyni nawoływała swoje kokosze na grzędę, wieprzak krząkał przy pełnym korycie, a siwy dym ulatywał z białego komina, bo już się warzyła wieczerza.

Słuchał tego i patrzał na to Kurta, bijąc lekko ogonem o ziemię, aż gdy usłyszał Maciusiowe granie na fujarce, skoczył, żeby mu pomódz zapędzić krówkę do obory. A nie tak krowę, jak cielę, bo krówka zawsze sama do obory szła, a cielęciu to się coraz zachciewało gdzieś bieżeć. Więc Maciuś za nim, za Maciusiem Kurta, a cielę bryka! Byliby tak wkółko do północka biegali, ale że gospodarz nadszedł z kosą na ramieniu i cielęciu drogę zastąpił, więc je już potem łatwo Maciuś do obórki nawrócił.

Gospodarzowi od dziennej roboty na skwarze sło-

necznym aż koszula do pleców przylgnęła, a pot mu na czole stał, jak rosa. Siadł też ciężko na ławie przed chatą, a koło siebie oparł kosę, błyszczącą jak srebro. Nim gospodyni misę z ziemniakami i z mlekiem kwaśnym wyniosła, poklepał Kurtę po łbie, a widząc, że wszystko w porządku, rzekł: — Dobre psisko! Dobre psisko! — Uradował się Kurta z tej pochwały, aż zaskomlał z uciechy, a kiedy wreszcie ogień w izbie zagasł, i wszystko się uciszyło, on zasiadł pod progiem i patrzał, pilnując chaty swoich gospodarzy.

Gwiazdy już wzeszły i księżyc błysnął, a Kurta przez sen jeszcze poszczekiwał i mruczał, jak na wiernego stróża przystało.

M. Konopnicka.

Wytłumacz przysłowia: „Kto chce psa uderzyć, ten kij znajdzie“, „Żyje, jak pies z kotem“, „Ni pies, ni wydra“, „Nie dla psa kiełbasa“.

56. Chłopski koń.

A czegóż rżysz po rosie,
Koniku ty mój siwy?
Nie będę ja ci w jedwab
Zaplatał długiej grzywy...
Hej! długiej grzywy!...
Nie będę ja cię wodził
Na uździe z karmazynu,
W parciankach[1]) będziesz [chodził
U pługa, chłopski synu,
Hej! chłopski synu!
Nie będziesz ty się pysznił
Pod siodłem, pod czerwo- [nem,
Łeb tylko spuścisz smutnie
Nad czarnym tym wygo- [nem[2])...
Hej! nad wygonem!...
Zębatą ciągnąc bronę,
Spotniejesz białą rosą...
Ani cię wiatry one
W kraj świata nie poniosą...
Hej! nie poniosą!...
Ani ja nie dam ciebie
W złociste kuć podkowy,
Cobyć tak stąpał z góry,
Jakoby nasz karbowy...
Hej! jak karbowy!..

---

[1]) Parcianka—szmata płócienna.
[2]) Wygon—droga, którą bydło w pole na pastwisko wyganiają.

Nie będą drobną sieczką
Karmiły ciebie panny...
Nie padniesz w krwawem
[polu,
Świszczącą kulką ranny!...
Hej! kulką ranny!...
Na piasku, na ugorze
Gospodarz cię zostawi...
A rosa oczy wyźre,
A słońce kości strawi,
Hej! kości strawi!...
Nie będą tobie grały
Muzyki, ni trębacze...
Jeno cię wiatr pogrzebie,
A deszczyk cię opłacze...
Hej deszcz opłacze!...

M. Konopnicka.

Czy dobrze jest koniom na świecie? Jak im się człowiek odpłaca za służbę? Czy jest to sprawiedliwie i szlachetnie? Które konie uważasz za najnieszczęśliwsze?

57. Stary przyjaciel.

Niepomyślnie zapowiadał się jarmark w miasteczku: deszcz lał od rana zimny i ulewny już w przeddzień targu i wcale się nie zanosiło na pogodę. Niewielu się odważy przybyć w taką słotę i mało kto załatwi swoje sprawy.

Naturalnie, że wszystkie zajazdy w samem mieście były zapełnione i przybyli wieśniacy zatrzymywali się w wielkiej oberży przy drodze, a nawet wszyscy ludzie, w pobliżu szosy mieszkający, udzielali przytułku na noc nieszczęśliwym. Tym sposobem każdy człowiek znalazł wreszcie schronienie, ale biedne zwierzęta!

Biedne krowy i konie, pomęczone, głodne, stały na deszczu, w błocie, drżąc z zimna, i nie mogły się nawet wyciągnąć na ziemi. Zimna woda spływała z nich strugami, wiatr smagał bez litości, ludzie myśleli o sobie.

Pomiędzy niemi była stara szkapa, tak chuda i wynędzniała, że zaledwie można sobie wyobrazić. Miała nogi sztywne, jakby sparaliżowane, wystające z pod skóry żebra, a łeb spuszczony ku ziemi.

Zmierzch zapadł, kiedy przeciskał się drogą młody gospodarz o twarzy surowej, pan obszernej i pięk-

nej zagrody przy drodze. Właściciel starej szkapy zatrzymał go z chytrym uśmiechem.

— Gospodarzu, odkupcie tego konia. Drogo wam nie policzę, a to wasz znajomy, możebyście mu dali chleb łaskawy.

Wieśniak brwi zmarszczył, lecz spojrzał na konia i poznał go natychmiast. Tak, sam go przecież wyhodował, ujeździł. Ojciec mu go darował jeszcze małem źrebięciem, a on, młody chłopiec, przywiązał się dziwnie do tej pierwszej swojej własności. Ojciec narzekał, że go zbyt obficie karmi, i co prawda wykradał owies dla swego ulubieńca.

Póki miał tego konia, nie chodził nigdy pieszo do kościoła, zaprzęgał go do bryczki, żeby się nim popisać. Bryczka była nędzna i niemalowana, on sam w parciankach, lecz koń wyglądał pięknie, był najpiękniejszy ze wszystkich, które stały przed kościołem.

Raz uniesiony dumą, zdobył się na odwagę i spytał ojca, czyby nie mógł kupić farby i pomalować bryczki. Wspomniał także nieśmiało o własnem ubraniu.

Ojciec spojrzał na niego przerażonym wzrokiem. Przez całe życie ciężko walczył z biedą, spłacając długi, jakie odziedziczył, więc przestraszył się teraz rozrzutności syna, do której piękny koń mógł być pokusą.

To też w kilka dni potem, nic nie mówiąc chłopcu, udał się do miasteczka i sprzedał konia na jarmarku.

Trudno opisać rozpacz młodego wieśniaka. Uciekał z chaty i krył się przed ludźmi, ażeby nikt nie widział, jak płacze po koniu. Myślał tylko o tym aby zebrać pieniądze i odkupić go znowu. O tem marzył przez całe lata i nauczył się surowej oszczędności.

Nareszcie ojciec umarł, syn jedynak odziedziczył gospodarstwo, lecz konia nie odkupił, nie myślał już o nim. Przywiązał się do pieniędzy, pragnął być bogatym, nazywano go skąpym.

I teraz obojętnie przeszedł koło konia: na cóżby go dziś odkupywał? Do roboty niezdatny, a piękność dawno stracił.

Wszedł do domu, gdzie matka przygotowała uczciwą wieczerzę, ale jakoś jeść nie mógł. Zamyślał się i siedział chmurny.

— Czyś nie chory?—troskliwie zapytała matka, widząc niezwykły wyraz w jego twarzy.

Odpowiedział jej jąkby smutnie:

— Nic mi nie jest. Tylko przypomina mi się coś z dawnych czasów.

Rzeczywiście przesuwało mu się przed oczyma całe dzieciństwo, młodość. W tem wszystkiem koń miał udział, łączył się z każdą chwilą jego życia. A zarazem widział go nędznym i starym, tam na deszczu i słocie.

To jego dawny koń... drogi przyjaciel.

Matka posłała łóżka, ogień przygasł na kominku, a gospodarz wciąż siedział pogrążony w myślach, z których jakoś nie miał siły się otrząsnąć.

Wreszcie podniósł się z miejsca, ażeby jak codzień obejrzeć gospodarstwo, przekonać się, czy wszystkie budynki zamknięte. Zdjął ze ściany klucze i wyszedł na podwórze. Lecz zaledwie otworzył drzwi od sieni, wiatr szarpnął je gwałtownie, wyrwał mu je z ręki i uderzył o ścianę domu.

Gospodarz zszedł po schodkach i spostrzegł natychmiast przytulone do ściany dwie małe dziewczynki. Nie śmiały pukać do drzwi, więc stały pod murem, w nędznych, mokrych łachmanach, osłonięte tylko wielkiemi workami, w jakie dzieci miejskie zbierają dla fabryk gałgany.

— Co tu robicie? — zapytał niemile zdziwiony. A gdy dzieci odpowiedziały drżącym głosem, że się nie mają gdzie schronić przed deszczem, popatrzył na nie przez chwilę ponuro, potem twardo rozkazał wejść do sieni, otworzył drzwi do izby i powiedział, że mogą przespać się na podłodze przy kominie.

Obszedł gospodarstwo i wrócił do domu. Dziewczynki już leżały, oparte o swe worki, w mokrych łachmanach i szeptały coś po cichu.

— Nie gadać i spać zaraz!—rzekł surowo, ale sam się nie kładł, tylko chodził po izbie niespokojny.

Dzieci szeptały jeszcze.

— Będziecie wy cicho—zawołał rozdrażniony.

— My tylko mówimy pacierz — odezwała się starsza dziewczynka. — przyrzekłam mamie, kiedy umierała, że nie zapomnę nigdy zmówić z Marynią wieczornej modlitwy. Ona jeszcze sama nie umie.

Wyszeptały jeszcze słów kilka i ucichły.

A gospodarz odwrócił się nagle do ściany, usiadł na ławie i ukrył twarz w dłoniach.

Ktoś dotknął jego ramienia łagodnie. To matka.

— Janie—rzekła cicho—pozwól mi te dzieci zatrzymać w chacie i wychować na ludzi. I ty przecie pamiętasz ich rodziców — mówiła dalej, kiedy syn nie odpowiadał. — Bóg dał nam dostatek i pobłogosławi, jeśli przygarniemy sieroty. Mamy więcej, niż nam potrzeba.

Syn podniósł głowę,—oczy miał łez pełne.

— Ojciec—zaczął niepewnym głosem.

— Ojciec musiał oszczędzać — przerwała matka z mocą—miał prawo nawet skąpić, bo jego obowiązkiem było spłacić długi, oddać ludziom pieniądze, które zebrać musiał. Ty masz wszystko i pomyśl, czy ci wolno nie dzielić z biedniejszymi, coś otrzymał od Boga, abyś dobrze użył.

— O matko — jęknął wieśniak, — nie chcę tak żyć dłużej. Nie chcę, nie mogę. Tam stary mój przyjaciel na zimnie i deszczu.—Nie, mój druhu, nie zaznasz więcej biedy. Twój widok zbudził znowu moje uśpione serce,—więcej nie rozstaniemy się w życiu.

Wstał z miejsca i sięgnął po klucze na ścianie. Matka tymczasem schyliła się nad dziewczynkami, aby śpiące przenieść na łóżko.

Załatwiwszy to, wyszła na podwórze. Usłyszała jakieś stąpania. Wpatrzyła się w ciemność i ujrzała po chwili syna, idącego od drogi i prowadzącego konia, który oparł mu łeb na ramieniu. Za nimi postępowały inne konie i krowy, lecz gospodarz zdawał się na to nie zważać. Pusta stodoła była na przestrzał otwarta, i cały orszak tonął w niej powoli.

Lecz oto z drugiej strony wyszedł znów gospodarz, już tylko z jednym koniem. Otworzył wrota stajni i wprowadził go do niej.

Salma Lagarlof.

Jaki był ten gospodarz? Co go wzruszyło? Dlaczego był skąpym? Co to znaczy dług? Do czego jest obowiązany człowiek, który ma długi? Czy wolno mu być hojnym i dogadzać sobie? Czy może jednakowo wydawać ten, co długi ma, i ten, który ich nie ma? Cobyśmy o tym gospodarzu myśleli, gdyby nie zajął się sierotami i nie zatroszczył o starego przyjaciela?

58. Dobroć.

Tak mało na świecie dobroci,
A tyle jej światu potrzeba!
Nią życie jak słońcem się złoci,
Nią ziemia się zbliża do nieba.

Potęga jej w sercu poczęta
Nie mija bezpłodnie i marnie:
Sieroty i polne ptaszęta
Litośnie pod skrzydła swe garnie.

Aż leśne ptaszyny oswoi,
Że same do rąk się jej zlecą,
I serce najdziksze rozbroi,
Że same dobrocią zaświecą.

L. Rydel.

Czy naprawdę jest mało dobroci na świecie? Czy znasz dzieci lub ludzi dobrych? Co dobrego zrobili? Czy dobroć jest potrzebna? Czy tylko dla ludzi powinniśmy być dobrzy? Dla kogo jeszcze?

59. Kot, który zawsze chodził własnemi drogami.

I.

Działo się to przed bardzo dawnymi czasy, kiedy zwierzęta, obecnie oswojone, żyły jeszcze w stanie dzi-

kim i chodziły po dzikich lasach, samotnemi, dzikiemi ścieżynami. Ale najdzikszy ze wszystkich zwierząt był kot.

Naturalnie, że i człowiek był wtedy także dziki, ale spotkał kobietę, która wyszukała mu ładną jaskinię, wysypała wnętrze suchym, miałkim piaskiem, a w głębi rozniecila ogień, wejście zaś zasłoniła skórą końską.

Tego dnia na kolację jedli już pieczeń z dzikiego barana, przyprawioną dzikim czosnkiem i dzikim pieprzem, dziką kaczkę z dzikim ryżem, dzikie czereśnie i dzikie owoce granatu.

A po kolacji mężczyzna położył się spać przy ognisku, a kobieta zaczęła czesać długie włosy i śpiewać.

Z wilgotnych lasów wybiegały dzikie zwierzęta i zdaleka patrzały na ognisko, nie wiedząc, co to ma znaczyć. Ale dziki pies począł węszyć dzikim nosem, poczuł woń pieczonej baraniny i rzekł:

— Muszę tam pójść i zobaczyć, bo zdaje mi się, że tam jest coś dobrego. Chodź, kocie, pójdziemy razem.

— Nie, nie! Jestem kotem, który zawsze chodzi własnemi drogami. Nie pójdę z tobą.

— Więc nigdy już nie będziemy przyjaciółmi — rzekł dziki pies i sam ruszył w stronę jaskini.

Ale zaledwie uszedł kilka kroków, kot mruknął do siebie: — Wszystko mi jedno, kędy chodzę. Dlaczegóż nie miałbym pójść także ku jaskini, jeśli mi się spodoba? — I cichutko, na palcach pomknął za psem i ukrył się w pobliżu jaskini, skąd wszystko mógł widzieć i słyszeć!

Dziki pies tymczasem podniósł głową skórę końską, zawieszoną u wejścia do jaskini, i począł węszyć przyjemną woń pieczonej baraniny.

— Czego potrzebujesz, dzika istoto z dzikich lasów? — zapytała, spostrzegłszy go, kobieta.

— O moja nieprzyjaciółko, żono mojego nieprzyjaciela, jaka to woń rozkoszna rozchodzi się po lasach?

Rozśmiała się kobieta i rzuciła psu dzikiemu kość z pieczeni baraniej.

Pies ogryzł kość, oblizał się pięciokrotnie i powiedział:

— O moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela, daj mi jeszcze jedną.

A kobieta odparła:

— Dzika istoto z dzikich lasów, pomagaj memu mężowi polować w ciągu dnia, strzeż w nocy naszej jaskini, a będziesz miał tyle kości z pieczeni, ile sam zechcesz.

A pies natychmiast wsunął się do wnętrza jaskini, położył łeb na kolanach kobiety i rzekł:

— O moja przyjaciółko, żono mojego przyjaciela, będę z mężem twym polował w ciągu dnia, a w nocy będę strzegł waszej jaskini.

(Czy bardzo piękny był postępek psa?).

II.

— Ach—szepnął kot, który podsłuchiwał—ta kobieta jest bardzo mądra, ale pies jest bardzo głupi! — I pomknął w stronę dzikich lasów i przechadzał się po dzikich ścieżkach, wywijając dzikim ogonem, ale nikomu o tym wszystkim nie rzekł ani słowa.

A nazajutrz kobieta nazbierała sporo trawy, wysuszyła ją przy ogniu, że pachniała jak świeże siano, i położyła u wnijścia do jaskini.

A w dzikich lasach dziwiły się dzikie zwierzęta, co za rozkoszny zapach idzie od jaskini, a dziki koń tupnął dzikim kopytem i powiedział do kota:

— Chodź, kocie, do jaskini, przekonamy się, co znaczy ten rozkoszny zapach.

— Nie, nie! Jestem kotem, który zawsze chodzi własnemi drogami—odpowiedział kot, ale cichutko ukrył się zaraz w pobliżu jaskini, skąd wszystko mógł widzieć i słyszeć.

I widział, jak dziki koń dla garstki pachnącej trawy pozwolił kobiecie włożyć na siebie chomąto. I widział potem, jak dzika krowa za tę pachnącą trawę oddawała piękne, białe, pachnące mleko.

— Ta kobieta jest bardzo mądra—myślał kot—ale zwierzęta są bardzo głupie.

(Jak je inaczej nazwać można?).

III.

Nazajutrz kot, jak zwykle, ukrył się w pobliżu jaskini i czekał, ale już żadne zwierzę nie zbliżyło się do niej. Wtem zobaczył, jak kobieta doiła krowę, poczuł przyjemne ciepło, bijące od ogniska, i zapach ciepłego mleka. Więc zapytał:

— O moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela, powiedz mi, co się stało z braćmi mymi, dzikim psem, dzikim koniem i dziką krową?

Ale kobieta roześmiała się i rzekła:

— Dzika istoto z dzikich lasów, wracaj, skąd przyszłaś, bo nie potrzeba mi więcej ani sług, ani przyjaciół.

A kot rzekł:

— Nie jestem ani przyjacielem, ani sługą, lecz kotem, który zawsze chodzi własnemi drogami, a teraz chciałby wejść do jaskini.

Lecz kobieta zaśmiała się i rzekła:

— Jesteś kotem, który zawsze chodzi własnemi drogami i wszystko ci jedno kędy. Masz dość na świecie miejsca, ta jaskinia jest moja.

Wtedy kot udał szczere zmartwienie i zapytał:

— Więc nigdy nie będzie mi wolno przyjść do waszej jaskini, usiąść przy ciepłem ognisku, skosztować białego, ciepłego mleka? Jesteś taka mądra i piękna, że nawet dla kota nie powinnaś być tak okrutna.

— Wiedziałam, że jestem mądra — odparła kobieta — ale nie wiedziałam, że jestem piękna! A za to, żeś mi o tem powiedział, zrobię z tobą układ: Jeżeli kiedykolwiek powiem choć jedno słowo na twoją pochwałę, będzie ci wolno zawsze wejść do naszej jaskini.

— A jeżeli powiesz drugie słowo? — spytał kot.

— Nigdy! — odrzekła kobieta — ale gdybym to uczyniła, wolno ci będzie usiąść przy ognisku.

— A jeśli powiesz trzecie? — spytał kot.

— Przenigdy! — odparła kobieta — ale gdyby się to kiedy stało, natenczas po wiek wieków będziesz mógł trzy razy dziennie pić białe, ciepłe mleko.

Wówczas kot wygiął grzbiet i rzekł:

— Dobrze! Niechaj ta zasłona, wisząca u wnijścia jaskini, i to ciepłe ognisko i te garnki z mlekiem zapamiętaja, co mi przyrzekła moja nieprzyjaciółka, żona mego nieprzyjaciela.

I rzekłszy to, pomknął w stronę dzikich, wilgotnych lasów, i przechadzał się po dzikich ścieżkach, wywijając dzikim ogonem. Tylko nietoperz wiedział, gdzie się kot ukrywa, i co noc leciał do niego z wiadomościami.

IV.

Pewnego wieczora nietoperz doniósł kotowi:

— W jaskini jest małe dziecko, zupełnie świeże, nowe i tłuściutkie, a kobieta bardzo je lubi.

-- Ach, mruknął kot do siebie, teraz nadszedł mój czas.

Nazajutrz ukrył się w pobliżu jaskini i czekał, aż mężczyzna z psem i koniem wyszli na polowanie. Kobieta gotowała obiad, lecz dziecko wciąż płakało i przeszkadzało jej w robocie. Więc wyniosła je na trawnik i ułożyła wygodnie, ale dziecko płakało ciągle.

Wówczas zbliżył się kot, wyciągnął miękką łapkę i pogłaskał dziecko po policzku. I dziecko uspokoiło się w jednej chwili. Potem zaczął się ocierać o jego tłuste kolanka, łaskotać je ogonem w szyjkę, aż dziecko śmiać się zaczęło tak głośno, że kobieta w jaskini usłyszała śmiech jego i uśmiechnęła się z zadowolenia.

A wówczas rzekł nietoperz, wiszący u pułapu.

— O moja gospodyni, żono mego gospodarza, jakaś dzika istota z dzikich lasów prześlicznie bawi się z twoim synkiem.

— Błogosławieństwo na tę dziką istotę — rzekła kobieta. — Byłam dziś bardzo zajęta, i oddała mi przysługę.

I zaledwie kobieta wymówiła te słowa skóra u wnijścia do jaskini spadła z szelestem, przypomniawszy sobie o układzie z kotem. A gdy kobieta poszła ją zawiesić, kot jednym susem wskoczył do jaskini i usiadł w jednym z kątów.

— O moja nieprzyjaciółko, żono mojego nieprzyjaciela i matko mojego nieprzyjaciela — zawołał — oto jestem! Powiedziałaś słowo na moją pochwałę i odtąd po wiek wieków wolno mi przebywać w tej jaskini. Ale zawsze jestem kotem, który chodzi własnemi drogami i wszystko mi jedno kędy.

V.

Kobieta zagniewana usiadła do kądzieli, ale dziecko zaczęło znowu płakać, aż twarzyczka mu posiniała, a kobieta w żaden sposób uspokoić go nie mogła.

— O moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela i matko mego nieprzyjaciela, rzuć wrzeciono na podłogę, a ja uczynię taki czar, że dziecko śmiać się zacznie—odezwał się kot.

— Dobrze—rzekła kobieta—posłucham twej rady, ale z góry ci mówię, że chwalić cię nie będę.

I rzuciła na podłogę wrzeciono, a kot je chwycił w łapki, podrzucał do góry, udawał, że je zgubił, by znów pochwycić, podrzucić, aż dziecko rozbawione śmiać się poczęło głośno. Wyciągało rączki do kota i wydawało okrzyki radości, aż zmęczone długą zabawą, zasnęło, obejmując kota tłustemi rączkami.

— Teraz—rzekł kot—zaśpiewam dziecku piosenkę, przy której całą godzinę spać będzie.

I zaczął mruczeć głośno i przeciągle, a dziecko spało mocno i spokojnie, jak nigdy przedtem. Kobieta widząc to, uśmiechnęła się i rzekła:

— Doskonale się sprawiłeś. Jesteś istotnie bardzo przebiegłym stworzeniem.

I zaledwie to wymówiła, gdy z ogniska dym buchnął wielkimi kłębami, bo przypomniał sobie o układzie z kotem. Kot zaś zaraz wygodnie rozsiadł się w pobliżu ognia.

O moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela i matko mego nieprzyjaciela—zawołał—oto jestem! Powiedziałaś drugie słowo na moją pochwałę, i wolno mi po wiek wieków zostać przy tym ciepłem ognisku. Ale zawsze jestem kotem, który chodzi własnemi drogami.

VI.

Wówczas kobieta rozgniewała się bardzo i uczyniła czar milczenia, aby się zabezpieczyć od wymówienia trzeciej pochwały. Milczenie też zapanowało w jaskini tak wielkie, że z dziurki wybiegła myszka i zaczęła tańczyć.

Przestraszona kobieta szybko wskoczyła na ławę i zaczęła zwijać swoje długie włosy, aby się mysz przypadkiem w nie nie zaplątała.

A kot widząc jej trwogę, skoczył jednym susem, pochwycił mysz i pożarł w mgnieniu oka.

— Stokrotne dzięki!—zawołała uszczęśliwiona kobieta.—Doprawdy, kocie, jesteś bardzo mądrym i zręcznym stworzeniem.

Lecz zaledwie to wymówiła, garnek z mlekiem, stojący przy ognisku, rozprysnął się na drobne skorupki, gdyż przypomniał sobie o układzie z kotem. A kot przyskoczył i zaczął chłeptać białe, ciepłe mleko.

— O moja nieprzyjaciółko, żono mego nieprzyjaciela i matko mego nieprzyjaciela—zawołał—oto jestem! Powiedziałaś trzecie słowo na moją pochwałę i wolno mi po wiek wieków pić trzy razy dziennie białe, ciepłe mleko. Ale zawsze jestem kotem, który chodzi własnemi drogami i wszystko mi jedno kędy.

Wówczas roześmiała się kobieta i postawiła przed nim miskę białego i ciepłego mleka.

Podług **R. Kiplinga.**

Czy można mieć kotu za złe, że chce zawsze chodzić własnemi drogami? Co to znaczy? Czy pies, koń, krowa i kot są w jednakowym stopniu poddane człowiekowi? Jakie przymioty widzimy w kocie? Czy słusznie mówią, że kot jest fałszywy? W jaki sposób ogień i kobieta przyczyniły się do skupiania ludzi, żyjących pierwotnie w rozproszeniu?

60. Pogrzeb Filusia.

Idą porządkiem szykowane roty
Wszyscy w ponurej i smutnej postaci
Najpierwsze w marszu idą dzikie koty,
Wyborne czoło od innych współbraci;
Sztandar niósł jeden przedziwnej roboty,
Nieboszczykowscy zatem koligaci [1]),
W żałobne flóry [2]) ich łapki uwite,
Ostre pazury wciągnione i skryte.

Przyjazne zatem nadchodzą orszaki,
Jak który może, boleść ciężką znaczą:
Żałosne głosy wydawają ptaki;
Synogarlice w parach swoich płaczą;
Swojskich zwierzątek rodzaj wieloraki,
Rozkoszne nawet wiewiórki nie skaczą;
Milczą papugi, niegdyś rezolutne;
Igrać małpeczki zapomniały smutne.

Niesie Minetka obróż centkowaną,
Hektorek grzebień ze słoniowej kości,
Irys kołderkę, złotem haftowaną,
Bebe manelki [3]) dziwnej wspaniałości,
Miledy czarkę, wewnątrz wyzłacaną,
Z której zwykł jadać i częstować gości.
Sprzęty szacowne od łapek i szyje [4])
Już was kochany Filuś nie użyje!

Leżą na złotych marach położone
Ulubionego faworyta zwłoki,
Po wszystkich stronach kwiaty rozrzucone,
A całun mary okrywa szeroki;
Bujają w puchu członeczki pieszczone,
Dym się z kadzidła wznosi pod obłoki;
Niosą trumienkę, nakształt kolebeczki,
Najukochańsze księżniczki-małpeczki.

---

[1]) Koligaci—krewni. [2]) Flóry—Przepaski żałobne. [3]) Manelki — naramienniki, obrączki. [4]) Szyje — zamiast szyi.

Już się do stosu zwłoki znamienite
Zbliżyły; w kiry [1]) przybrani rycerze;
Cyfry z posępnych cyprysów uwite;
Mruczysław długie zaczyna pacierze;
Dalej obrządki czyni należyte,
A w drżące łapki gdy pochodnię bierze,
I stos i Filuś spłonęły pospołu —
Garstka się tylko została popiołu.

I. Krasicki (Myszeis).

Jest to żartobliwy opis pogrzebu faworyta księżniczki Duchny, poległego w bitwie szczurów i myszy z kotami. Autor żartuje trochę z przesadzonych lub udanych żalów. Język inny niż dzisiaj, bo więcej niż 100 lat temu napisane.

---

[1]) Kiry — żałoba.